

Kłomnika

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 2 Rok I

ŁÓDŹ, 16-31 MAJA 1955

Cena zł 1.20

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ZERWAĆ z ZAPŁOCIEM

KIEDY nam dziś powiadają — oto działacz terenowy, pytamy zazwyczaj: a po jakiej linii? To wytarte, sztapkowe sformułowanie posiada jednak sens, gdyż działacze wiejscy coraz wyraźniej specjalizują się — są agromonami, weterynarzami, zootechnikami, czy mechanikami. Jeden tylko nauczyciel miałby wielki kłopot z odpowiedzią. Ano — jest działaczem... w ogólności — prowadzi świetlicę, bibliotekę, opiekuje się kołem ZMP, organizuje szkolenie rolnicze, leczy zwierzęta, czasem i ludzi, obsługuje zebrania, poprawia „czynnikom” referaty, zasiada w Radzie, tańczy, gra i śpiewa na scenie, a w wolnych chwilach jeszcze i uczy. Jak słychać, dotychczasowy rekord wynosi 18 rozmaitych funkcji na jedną nauczycielską głowę.

Stan ten powoduje osobliwe zjawiska. Spytajcie tylko w Komitecie Powiatowym o najlepszego nauczyciela, a wskażę wam z całą pewnością takiego „wielowarstwotowca”, co to i zęba wyrwie i szkolenie poprowadzi. Ale równocześnie Wydział Oświaty nazwie go „slabeuszem”, który nie osiąga nawet dostatecznych wyników nauczania. A więc i piątka ze sprawowania i jednocześnie dwójka z minusem.

Człowiek — jak mówią — wciągnięty w wir społecznego życia — szybko dojrzeje, rośnie. Nauczyciel też regule przeżyje, im silniej tkwi w otaczającej go rzeczywistości, tym mniej wie co się dookoła dzieje. Im mu więcej obowiązków przyłożyć, tym szybciej staje w miejscu, rdzewieje, przestaje rosnąć.

Wiosną ub. roku przeprowadziłem ankietę wśród słuchaczy Kursu Społeczno-Pedagogicznego w Miedzeszynie. Byli to nauczyciele, jak się zdaje, lepsi, starannie typowani. Na 80 słuchaczy 45 prowadziło świetlice i biblioteki terenowe, ale tylko 5 czytało „Pamiętkę z celulozy”, „Piątkę z ulicy Barskiej” — 3. 20 prowadziło amatorskie zespoły dramatyczne, ale teatr z prawdziwego zdarzenia oglądał w ciągu roku tylko jeden. Wszyscy zaś, licząc przeciętnie, obejrżeli w ciągu 12 miesięcy 5 filmów, czyli mniej niż jeden na 2 miesiące. Wszyscy reprezentowali niezwykle liczną na wsi grupę nauczycieli-wielbiadów, obciążonych rozmaitymi funkcjami ponad wszelką miarę.

„Oczywiście skutkiem tych rzeczy — jak pisał Sienkiewicz — obowiązki nauczycielskie akurat tyle tracą ile diabła zyskuje”. Biegający od wsi do wsi gromadzą gminny Figaro nigdy nie ma czasu. Ponad jego głowę przepływają najważniejsze wydarzenia kulturalne. Niesposób ich poznać, niesposób dogonić nowych osiągnięć w ulubionym przedmiocie nauczania. Tłoczące się wokół drobne nierzeczy sprawy zamykają drogę do szerokiego świata, powodują, że nasz aktywista do wszystkiego z zadrzota patrzy na nowe książki, których przeczytać nie może, często nawet nie wie, że w kraju ukazują się czasopisma kulturalno-społeczne i literackie. Żyje pracowicie na typowym „Zapłociu”. Jakże często w podobnej sytuacji znajdujemy bibliotekarza i kierownika świetlicy!

Nim na wieś przyszła biblioteka i świetlica, kino i radio — wcześniej był nauczyciel, pierwszy rewolucjonista na polu kultury, przez swoją jedyną zmuszony do działania na wszystkich odcinkach społecznego życia gromady. Zmuszała go do tego jeszcze i inna okoliczność. Było przed laty coś niezwykle smutnego w pracy nauczyciela. Oto rozpoznawał w wiejskiej trzylasówce pierwsze przejawy wielkich nieraz uzdolnień, obserwował szlachetne ambicje, twórcze marzenia dziecięce, wiedząc równocześnie — i to było tak tragiczne — że wszystko po kilku latach zostanie zdeptane przez ustrój wyzysku, jego ulubiony uczeń nie dojdzie nawet do szkoły średniej. Istniał więc zawód, ale nie było pełnego rozmachu działacza oświatowego i fakt ten musiał popychać nauczyciela do działalności poza szkołą.

A dziś? Od pracy nauczyciela zależy, czy tysiące młodziarzy przejdzie śred-

nią szkołę i zobaczy salę seminaryjną na wyższej uczelni, czy też nie.

Przypomina się w tym miejscu stare przysłowie: „płnuj szewcze kopyta”. Powrót nauczyciela do szkoły, aby odpowiadając w pełni za jej poziom, mógł równocześnie przy pomocy młodzieży i rodziców oddziaływać na środowisko, staje się tedy sprawą konieczną. Jasna rzecz, odciążenie pracowników kulturalno-oświatowych od wielu drobnych, często nieważnych, zajęć, pomoże wyprowadzić ich z umysłowego „Zapłocia”. Dobra to droga, ale nie jedyna.

Żywy Diogenes

Byłem w niejednej wsi, niejedną obejrzałem szkołę i dlatego sądzę, że warunki bytowe wielu nauczycieli mogłyby dostarczyć ciekawego materiału do rozprawy naukowej, zatytułowanej „O granicach wytrzymałości ludzkiej”. Po przeczytaniu takiej rozprawy czytelnik bez trudu doszedłby do wniosku, że zwłaszcza młodzi nauczyciele wiejscy stanowczo odbiegają wytrzymałością od normalnych ludzi, są swoistym cudem natury, opatentowanym w Wydziale Oświaty, a zapewne i wyżej.

Widywałem mieszkania — jak to mówią chłopcy — „na górze”. To przyjemne określenie kryje za sobą po prostu strych, na którym sporządza się przepierzenie z desek, wyrzyna piłką

okno, wstawia żelazny piecyk i oto macie apartament, który zapewnia nieomylną wiedzę o stanie pogody, aktualnej temperaturze, sile i kierunku wiatrów.

Widywałem również nauczycieli — „wędrowników”. Jest to grupa odpowiadająca mniej więcej ustrojowi wspólnoty pierwotnej, mieszkająca „gdzie Bóg da a gospodarz pozwoli”. Czasem rzeczywiście przygarnie „wędrownika” chłop, kiedy akurat ma dzieci „na szkołach”, gdy wróć — czas nauczycielowi w dalszą drogę.

Póki Jan Patek kierował szkołą w Kramińcu (sieradzkim) można go było z powodzeniem nazwać nauczycielem Diogenesem. Nie mieszkał co prawda w beczce, lecz za szafą, w małym pokoiku nauczycielskim. Gdyby więc chodziło o zajmowaną przestrzeń — porównanie z Diogenesem wcale nie jest najgorsze. Nie znam rozmiarów beczki ateńskiego męża, myślę jednak, że nie zamieniłby się z Patkiem, mieszkał bądź co bądź w stolicy, podczas gdy nasz nauczyciel na... „Zapłociu”.

Być może trochę przesadzam, nie wszyscy przecież nauczyciele borykają się z trudnościami w znalezieniu dachu nad głową, ale czy nie jest jakąś niedorzeczna „oszczędnością” przesadą fakt, że przy nowowytworzonych szkołach, a postawiliśmy ich w Polsce Ludowej nie mało, że świecą w ręku trzeba szukać mieszkań dla nauczycieli?

Brak warsztatu pracy — to drugi czynnik składający się na „kompleks



Fot. L. Olejniczak

Zapłocia”. Własny kąt, zwykły, prosty stolik, przy którym można swobodnie czytać, cztery ściany, zapewniające ciszę, niezbędną dla wypoczynku, przemyślenia lekcji, planów pracy w szkole i środowisku, słowem to co potocznie nazywamy domem. Nie można sobie tego pojęcia lekceważyć, a jednak ileż to razy młody, zapalony nauczyciel, świeżo upieczony świetlicowiec usłyszał: „kto jest czysty na sumieniu, ten się wyśpi na kamieniu”.

Powróćmy do Patka. Uczył matematyki. Jak wyłożyć poglądowo ułamki i równania z dwiema niewiadomymi, jakie opracować tematy matematyczne, aby uwzględniły bliską dzieciom, lokalną problematykę? Uczył i historii w klasie IV, gdzie — jak wiadomo — program przewiduje okres od Adama i Ewy aż do socjalizmu włącznie. Jakże wytłumaczyć poglądowo dzieciom takie pojęcia, jak siły wytwórcze i stosunki produkcji? O to autorzy podręcznika nie pytali, pyta natomiast inspektor z powiatu. Uczył rosyjskiego i śpiewu, choć słuchu nie ma, opiekował się drużyną harcerską, kołem ZMP, kierował wieczorową szkołą dla dorosłych. Można to skutecznie rozstrzygnąć tyle rozmaitych problemów dydaktycznych i społecznych bez ich spokojnego przemyślenia, bez długich przygotowań, bez odpowiedniego warsztatu pracy?

Kultura na opak

Głównym składnikiem „Zapłocia” jest wszelkie zastój, intelektualna bierność. „Zapłocie” przypomina stojącą wodę, w której z trudem dopatrzeć się można przejawów życia.

Spotkałem nauczyciela nad morzem, zdumionego ogromem statków oceanicznych. Swoim uczniom opowiadał, że statek może sięgać najwyżej od szkoły do chałupy byłego sołtysa, a tymczasem „Batory” — jest co najmniej trzy razy dłuższy. Młody nauczyciel uczy już trzy lata Nauki o Konstytucji, mówi młodzieży o naszej piękniejszej z roku na rok Polsce, ale morza nigdy nie widział, słabe ma pojęcie o budownictwie socjalistycznym, zna je bowiem tylko z fotografii. Jakże można naszej młodzieży ukazać wielkość naszych czasów, bez przewietrzenia się, bez poznania trudu naszych górników, metalowców!

Mamy już poza sobą etap rewolucji kulturalnej, w którym chodziło o to, by chłopcy w ogóle czytali. Dziś czytają problemowo, szukają określonych książek, wykształcają swoje zainteresowania, chcą dyskutować o literaturze, filmie, spektaklu teatralnym. Nauczyciele radzili sobie dzielnie w pierwszej, elementarnej fazie rewolucji kulturalnej. Pełni niezwykłej ofiarności szli do walki z analfabetyzmem i walce tę wygrali. Dziś jednak ich działalność hamuje... „Zapłocie”. Co innego bowiem jest m. p. wypożyczać książki mechanicznie, co innego zaś prowadzić zespół czytelników, kierować dyskusją nad utworem literackim. Zna tę prawdę każdy bibliotekarz i świetlicowiec. Wiedza sprzed kilku czy kilkunastu lat starczyć nie może, trzeba ją stale uzupełniać. Inna rzecz, że nie mamy dotąd pisma rzetelnie informującego tysiące pracowników kultury o nowych książkach, filmach, sytuacjach w dramaturgii, muzyce, o głównych problemach polityki kulturalnej. Nie jest nim przecież „Przegląd Kulturalny”, rzadko wychylający głowę za rogatki wiel-

kich miast. Nikt też nie może powiedzieć, że ministerialny „Głos Nauczycielski”, tak energicznie nawołujący nauczycieli do wzmoczenia ofensywy kulturalnej na wieś, dozbiera ich równocześnie w wiedzę o kulturze i problemach jej upowszechnienia.

Trudno wyobrazić sobie szkołę — miejsce przekazywania prawdy o świecie — bez nieustającego ruchu umysłowego wśród nauczycieli. Nie można, ale, niestety, trzeba. Przeglądałem się zebraniom szkoleniowym nauczycieli. Przydługi referat, streszczający poglądy klasyków na sprawę, zenującego władzę dyskusja — czy to jest ruch umysłowy? Otóż ta właśnie rachityczna dyskusja jest zjawiskiem niepokojącym. Jakże tu bowiem mówić o fermentie intelektualnym, dociąganiu do poziomu, jaki powinien mieć przedstawiciel inteligencji ludowej, kiedy nie ma ani sporów, różnic zdań, ani wymiany doświadczeń?

A sprawy kultury? Wpadł mi niedawno w ręce arcyciekawy dokument. Kierownicy szkolenia ideologicznego w jednym z powiatów otrzymali „dyrektywę”, według której mieli dopilnować czytania „Pamiętki z celulozy” przez „masy nauczycielskie”. Oto tezy:

1. Rozbicie w polskim ruchu robotniczym. Zdradziecka rola prawicy PPS, chadecji i kleru.
2. Hasła jednolitofrontowe (położyć nacisk na sojusz robotniczo-chłopski) i ich realizacja w książce Newerlego.
3. Internacjonalizm (Szczególny jedzie do Hiszpanii).

Owe „tezy” stanowią pouczający przykład do rodowodu „Zapłocia”. Sprowadzanie literatury pięknej do roli jeszcze jednego referatu, szukanie w niej aż do znudzenia jedynie politycznego ekwiwalentu — nie prowadzi nauczycieli w szeroki świat kultury, lecz prosto na „Zapłocie”. Bez szerokiej dyskusji nad bohaterami utworów, sprzecznościami w ludzkim charakterze i postępowaniu, trudno przypuszczać, że nasz pracownik kulturalno-oświatowy potrafi kogokolwiek zapalić do książki, teatru, czy kina. Tutaj, m. in. należy szukać przyczyn częstego obumierania świetlic, nie tylko wiejskich — „Zapłocie” można spotkać i w Łodzi.

Praca nauczycielska, jak zresztą w ogóle praca kulturalno-oświatowa wymaga niejako podwójnych kwalifikacji: zawodowych i humanistycznych. Cóż to takiego? Kwalifikacje humanistyczne? Oznaczają one głęboką znajomość człowieka, umiejętność zbliżenia się do ludzi, zdolność budzenia w nich nowych, wyższych ambicji kulturalnych, zdolność przekazywania najcenniejszych zdobyczy naszej i światowej kultury.

„Zapłocie” zdobyciu tego rodzaju kwalifikacji nie sprzyja. Nurt życia umysłowego wśród terenowych pracowników kultury wzbiera zbyt wolno. Powinien przypominać górski potok na wiosnę, a jest jak leniwie płynąca rzeka, szeroko rozlana na delcie.

Nauczyciele, świetlicowcy, bibliotekarze niejednemu raz w życiu w naszych powojennych dziejach dowiedli wielkiej ofiarności, niespożytej energii w walce o pogłębienie rewolucji kulturalnej. Wyprowadzić z „Zapłocia”, związać z ośrodkami życia kulturalnego, aby podnieść ich godność, zapewnić sprawność w dalszym działaniu — wdzienne to doprawdy zadanie dla Ministerstwa Oświaty i Kultury

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

KONFERENCJA WARSZAWSKA

Zawarcie między ośmioma państwami Układu o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej zakłada nie-wzruszony fundament wspólnego działania milujących pokój państw w celu odparcia przygotowywanej agresji, w celu zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

Rząd Związku Radzieckiego jest niezłomnie przekonany, że uchwały Konferencji stworzą niezawodną podstawę do zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim państwom obozu pokoju, demokracji i socjalizmu. Jednocześnie Konferencja nasza stanie się doniosłym krokiem w kierunku rozwiązania zadań utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa zarówno w Europie, jak i na całym świecie.

Z oświadczenia Przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR
N. A. BULGANINA.

* * *

Celem naszego układu jest pokój, który chcemy w sposób niezawodny zapewnić. Obrady konferencji warszawskiej wykazały, że żaden z naszych krajów nie będzie szczydził wysiłków, by przyczynić się do utrwalenia pokoju. Równocześnie jednak zapewniamy sobie wszystkie środki, by każdą próbę agresji okiełznać, a agresora przykładnie ukarać. Nasze państwa stworzyły na konferencji warszawskiej nowe formy politycznej i wojskowej koordynacji — by jak najskuteczniej zapewnić naszym narodom bezpieczeństwo, a Europie — pokój.

Z przemówienia Prezesa Rady Ministrów PRL

J. CYRANKIEWICZA.

* * *

...Wybitni przedstawiciele kultury niemieckiej, jak Tomasz Mann, profesor Albert Schweitzer, zmarły niedawno wielki fizyk, profesor Albert Einstein, profesor Hahn, prezes Niemieckiej Akademii Nauk profesor Friedrich, Bertolt Brecht, Johannes R. Becher, Anna Seghers i wielu innych apelowało stanowczo i gorąco do sumienia działaczy sztuki i nauki. 250 tysięcy działaczy kultury ze wschodu i zachodu Niemiec złożyło swe podpisy pod rezolucją protestującą przeciwko układowi paryskiemu, opracowaną z inicjatywy Bertolta Brechta i przewodniczącego Niemieckiej Rady Pokoju profesora Friedricha.

Z przemówienia Premiera NRD

O. GROTEWOHLA.

KSIAŻKI SĄ I... KSIAŻEK BRAK

Z przyjemnością obserwujemy nasz rosnący dorobek wydawniczy. Cieszy nas stosunkowa taniość wielu pięknych wydawnictw, prawa szaty graficznej i wyglądu zewnętrznego książek.

Wystarczy jednak odwiedzić choćby tylko pierwszą lepszą księgarnię, aby przekonać się, że nie wszystko wygląda tak dobrze, że istnieją poważne niedomagania, które nie pozwalają spokojnie patrzeć w przyszłość.

Jakież mogą być przyczyny tego, że księgarnie cierpią na chroniczny brak lektur szkolnych, że nie ma tam dosłownie nic lepszego dla dzieci, że nie możemy zdobyć się na poważne wydawnictwa słownikowe?

Chyba ktoś odpowiada za to, że wychodzi cała masa tytułów wątpliwej wartości, w grubo przesadzonych nakładach, że tytuły i wydania dublują się, a tak potrzebne młodzieży lektury wychodzą najczęściej w niedostatecznych ilościach. Z książek dziecięcych ukazują się tylko okresowo pojedyncze tytuły natychmiast rozchwytywane, najczęściej wszakże nie ma nic. Nie było np. od dawien dawna „Bajek” Andersenów mimo uroczystości obchodzonego Roku Andersenowskiego. Nie zdobyliśmy się jeszcze, po dziesięciu latach, na jakąkolwiek własną encyklopedię, nie ma słowników polsko-niemieckich, polsko-czeskich i tytuł innych wydawnictw językowych. Słownik Wyrazów Obcych wyszedł w tak małym nakładzie (Łódź i województwo dostały 3 000 egz.), iż trudno mówić o jakimkolwiek zaspokojeniu potrzeb.

Z drugiej strony mnożą się wydania niezbyt potrzebne. Banasia „Przebudzenie” leży na półkach księgarskich w trzech wydaniach czytelnikowskich (rok 1952, 1953, 1954), „Jada wozy z cegłą” Boguszelewskiej i Kornackiego w wydaniach PIW-u z roku 1953 i 1954. „Dzień dobry Toporna” Jalu Kurka „Iskry” wydały w ubiegłym roku z krową na okładce i mimo iż nakład nie rozszedł się wyszło już w br. nowe wydanie, tym razem dla odmiany z kogutem. Kazakiewicz „Wiosny nad Odrą” MON prezentuje cztery wydania (w tym jedno w „Złotej Bibliotece”). Czytelnik w samym tylko ubiegłym roku wydał trzykrotnie Bubiennowa „Białą brzozę” (w tym raz w bibliotece „Prasy”) i wszystkie trzy edycje obejrzeć można w księgarniach.

Profil wydawniczy, tzn. udział procentowy poszczególnych działów tematycznych w ogólnym planie wydawniczym jest zdaje się obecnie nieodpowiedni i powinien ulec zmianie. Bo i cóż można powiedzieć o słuszności suchych procentów, gdy nie zdają one w życiu egzaminu?

Jeżeli rynek księgarski wykazuje taką chłonność na pewne tytuły — nie chodzi o „kryminały” i „romanse”, lecz klasyków polskich, rosyjskich, zachodnich — to objaw ten jest bardzo zdrowy i nie należy zamiast nich drukować np. pozycji tzw. popularno-fachowych, których niesposób rozprzedać.

Dlaczego żądać od księgarzy, by za wszelką cenę „upłyniali” klientom indywidualnym i zakładom pracy makulaturę, podczas gdy z niewątpliwie większą korzyścią byłoby, aby sprzedawali to co jest potrzebne? Komu np. ma służyć aż 15 000 egz. książki Popowa „Pranie i czyszczenie materiałów wełnianych i jedwabnych”, wydane w br. przez Wydawnictwo Przemysłu Lekkiego i Spożywczego? Książki przeznaczanej na domiar złego, nie jak sugerował wydawca na użytek gospodarstwa domowego, lecz dla zakładów pracy?

Pytam się: co w tej chwili bardziej potrzebne społeczeństwu: czy owo „Pranie” czy np. „Poemat pedagogiczny” Makarenki, którego od dawna nie ma w księgarniach ani na lekarstwo? Czy problem wychowania młodzieży nie jest dziś dla nas jednym z kluczowych?

Dajmy młodzieży pociągającą ją lekturę sensacyjną i podróżniczą. Pozwólmy jej w właściwy wiekowy sposób wyżywać się. Problemów politycznych nie wtłaczajmy jej łopatą do głowy, bo nie z tego nie wyjdzie (rezultat — słynny „Pamiętnik uczennicy” drukowany w „Nowej Kulturze”). Pomóżmy w sposób umiejętny i subtelny dojrzewać.

Kto odpowiada za dzisiejszy stan rzeczy? Czy wydawnictwa, czy Centralny Zarząd Księgarstwa? Kto ustala nakłady? Wina leży po obu stronach. Wiemy, że CZK reprezentuje politykę dystrybutora i z natury swej ma podejście handlowe. Może nie zawsze to jest dobre. Zapewne niesłusznie księgarze premiowani są tylko od obrotu bez względu na to, co i w jaki sposób sprzedali. Ale charakter pracy stawia ich w pozycji reprezentanta potrzeb szerokich mas.

Zadaniu temu nie zawsze potrafią sprostać. Księgarstwo ustala najczęściej swe zapotrzebowania zbyt mechanicznie, opierając się na oddolnych danych z „Arkuszy zamówień”, wypełnianych przez wszystkie placówki. Najczęściej, niestety, jednak te cyfry już na samym dole brane są raczej z powietrza niż z dokładnego rozeznania terenu. Księgarstwo nie posiada u siebie komórek analitycznych, które by były w stanie zbadać rynek, wprowadzać korekty już na tych szczeblach, gdzie błędy są możliwe do uchwycenia.

Dużą pomocą jest tu doświadczenie księgarzy. Ale co robić w częstych wypadkach, gdy doświadczenia tego nie ma. Zagadnienie to łączy się z płynnością kadr w księgarstwie, powodowaną niedostatecznym w stosunku do kwalifikacji uposażeniem.

Księgarstwo ustala i forsuje swe zapotrzebowania z jednej strony, z drugiej wydawnictwa kierując się własnymi planami niejednokrotnie przesadzając o nakładzie, w szczególności wtedy gdy celowo chodzi o jego obniżenie. Drukuje się dlatego wiele w śmiesznie małych nakładach, aby nie godziły w pulę papieru, aby nie uniemożliwiały utrzymywania, zbyt widać szeregowe jak na obecne możliwości, wachlarza pozycji planu wydawniczego. I w wielu wypadkach — na odwrót: wydawnictwo chce obniżyć kosztą druk, kosztą produkcji, wmawia, że jego tytuły znajdują szerokich odbiorców, słowem daje nierzetelne informacje o książce. A potem sprzedaje się książkę tylko księgarstwu — niech się ono martwi o leżącą lekturę.

I jeszcze jedna sprawa. W sprzedaży książek nie uwzględnia się momentu jakości. Nikt księgarza nie pyta, co sprzedać, lecz tylko — za ile?

Obowiązek pieniężnego wykonania planu fatalnie odbija się na całokształcie właściwej dystrybucji książki. Różnymi sposobami, najczęściej szkodliwymi dla księgarstwa szturmuje plany przedsiębiorstwa hurtu, detalu i księgarń. Bo od tego zależy premia pracowników, która jest dla księgarzy bardzo poważną częścią uposażenia. W miejsce walki o czytelnika obserwujemy walkę o sprzedaż wszystko jedno czego, byle tylko szło.

ANTONI WOJCIECHOWSKI

JANINA BRZOSTOWSKA

Artystka

Kiedy wiersz recytuje
obłok nad nią się snuje
leciuteczki, liryczny, różowy...
Każde miłości słowo
rozkwitła barwą nową
w słońcu jej czulej mowy...

Szmer wody, szepty trawy,
ptaków śpiewne zabawy,
milczącej gwiazdy lśnienie...
Wszystko umie wyrazić
frazą czystą, bez skazy,
każde piękno podejmie...

A kiedy trzeba gniewu,
protestu w miejsce śpiewu
by wiersz się z wrogiem zmierzył —
głosem dźwięcznym, dobitnym,
jak zew na polu bitwy,
w samo serce uderzył!

I smutek jej do twarzy —
i radość się kojarzy
z pogodnym jej uśmiechem...
A gdy zamilkną wiersze
w pamięci długo jeszcze
głos jej powraca echem...

JAN SZCZEPAŃSKI

Po obu stronach katedry (O działalności TWP)

JESZCZE przed kilku laty w niektórych zakładach przemysłowych Łodzi można było zobaczyć taki obrazek: przed zamkniętą bramą gestykulujący, wzburzony tłum robotników wychodzący z pracy, których strażnicy kierowali do świetlic na odczyt zorganizowany przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. W taki sposób mobilizowano załogi do wystąpienia na wykładzie prelegenta jakiegoś towarzystwa, o którym nikt nie wiedział, poza tym że prowadzi pracę oświatową przeszkadzającą w „normalnej” pracy.

Sytuacja Towarzystwa założonego w 1950 r. była trudna. Postawiono przed nim zadania wielkie: popularyzację wiedzy, szerzenie naukowego poglądu na świat, uczenie racjonalnego myślenia o zjawiskach przyrody i procesach społecznych. Słowem — tworzenie nowej świadomości społecznej. A jakimi środkami Towarzystwo wówczas dysponowało? Powiedział ktoś, że w r. 1950 organizowało odczyty nie mając ani prelegentów, którym by zależało na ich wygłoszeniu, ani odbiorców chcących słuchać, ani autorów opracowywujących teksty odczytów. Była tylko grupa ludzi widzących wielki cel w przyszłości, widzących wielkie możliwości i doniosłość społeczną tej pracy.

W ciągu pięciu lat z aparatu administracyjnego urządzającego odczyty wygłaszane przez przypadkowych prelegentów dla dość przypadkowych słuchaczy, Towarzystwo przekształciło się olbrzymim wysiłkiem w zrzeszenie oświatowe skupiające pracowników nauki i przodującą inteligencję, organizujące oświatowe oddziaływanie środowisk intelektualnych na szerokie masy ludności pracującej w mieście i na wsi. Dziś w Łodzi i województwie, w przeszło 750 punktach, co miesiąc systematycznie wygłaszane są pogadanki. Wybitni specjaliści łódzkiego ośrodka naukowego wygłaszają odczyty publiczne w Łodzi i miastach powiatowych. Towarzystwo obejmuje stałą akcją nauczycieli i młodzień szkolną. Przeszło 250 prelegentów systematycznie szkolonych wygłasza odczyty według centralnie ustalonego planu.

Jak dokonała się ta przemiana? Ofiarą pracą prelegentów, konsultantów, instruktorów i kierowników Towarzystwa. Długo trwało, nim prelegent TWP zdobył sobie popularność w terenie. Zdarzało się, że prelegenci musieli sami ściągać słuchaczy chodząc od chaty do chaty, że wygłaszali prelekcje w nieprawdopodobnych sytuacjach, że zaczęli od agitacji i przekonywania, zanim zaczęli się budzić zainteresowania kulturalne ich słuchaczy. Byli oni najwytrwalszymi pracownikami rewolucji kulturalnej, kolportowali książeczki Małej Biblioteki, uczyli czytelnictwa, otwierali oczy na doniosłość wiedzy.

Postęp w pracach Towarzystwa dokonywał się w trzech kierunkach. Z jed-

nej strony wciągano do pracy coraz szersze grono pracowników nauki, którzy w bezpośrednim zetknięciu ze słuchaczami w świetlicach fabrycznych, wsiach i miasteczkach uczyli się rozumienia rewolucji kulturalnej poprzez czynny w niej udział. Z drugiej strony Towarzystwo zapewniło systematyczne szkolenie setkom prelegentów, przeważnie nauczycielom województwa, umożliwiając im kontakt z postępem nauki i istotną problematyką współczesnej kultury. Wreszcie wśród dziesiątków tysięcy publiczności, słuchającej odczytów każdego miesiąca, dokonują się poważne przeobrażenia poglądów, rodzi się zrozumienie naukowego wyjaśnienia przyrody i historii, konieczne dla wytworzenia nowej świadomości, bez której nie można zbudować socjalizmu.

Są to procesy o wielkiej doniosłości. Towarzystwo popularyzuje wiedzę przez pracowników nauki, a więc tych, którzy naukę tworzą i rozwijają realizując hasło łączności nauki z życiem. Zdarzało się nieraz, że wybitni specjaliści niechętnie podejmowali się wygłaszania odczytów, lecz już pierwszy kontakt ze słuchaczami w świetlicy fabrycznej przełamywał opór i budził zapal do dalszej pracy oświatowej. Dyskusje i problematyka wysuwana przez prostych ludzi pozwalały na lepsze zrozumienie zagadnień politycznych. Np. wybitny fizyko-chemik słuchając po swoim odczycie niespokojnymi pytań: czy można zbudować schrony broniącej przed działaniem bomby wodorowej? — odpowiada bez namysłu, że przed nią może bronić skutecznie tylko walka o pokój i podsywanie apelu wiedeńskiego. Tak jak profesura, tak i cała liczna rzesza prelegentów, w toku pracy w Towarzystwie dojrzewa politycznie i kształci się sama podnosząc poziom odczytów i pogłębiając ich działanie na słuchaczy.

Właściwy sens społeczny pracy Towarzystwa możemy rozumieć tylko wtedy, jeżeli patrzymy na nią oczyma słuchaczy. Nie widząc odbiorcy nie widzieli celu i skutków pracy. Trzeba było słyszeć starego chłopca, który po wysłuchaniu odczytu o wychowaniu dzieci zapytał z zalem: dlaczego nie słyszałem takiego odczytu przed 40 laty, kiedy nie wiedziałem jak wychowywać swe dzieci. Trzeba by słuchać namienitych dyskusji, jakie wybuchają po odczytach wyjątkowych zjawiska atmosferyczne i astronomiczne. Trzeba by widzieć z jakim zainteresowaniem chłopcy i młodzież w wioskach powiatu łowickiego oglądali reprodukcje obrazów Matejki. Trzeba by słyszeć dyskusje i pytania po odczytach rolniczych. Trzeba by przeżywać napięcie, w jakim kilkadziesiąt osób słuchało w sali MDK wykładu prof. Lebediewskiego z Moskwy, o pochodzeniu ziemi i planet, wspomnień Zukrowskiego z Wietnamu, wykładu inż. Wołczka o stanie przygotowań do lotu na księżyc. Wtedy ukazuje się wielki cel, któremu służy Towarzystwo i wtedy zrozumiemy dlaczego ściąga ono coraz więcej członków i rozwija się szybko.

JAN SZCZEPAŃSKI

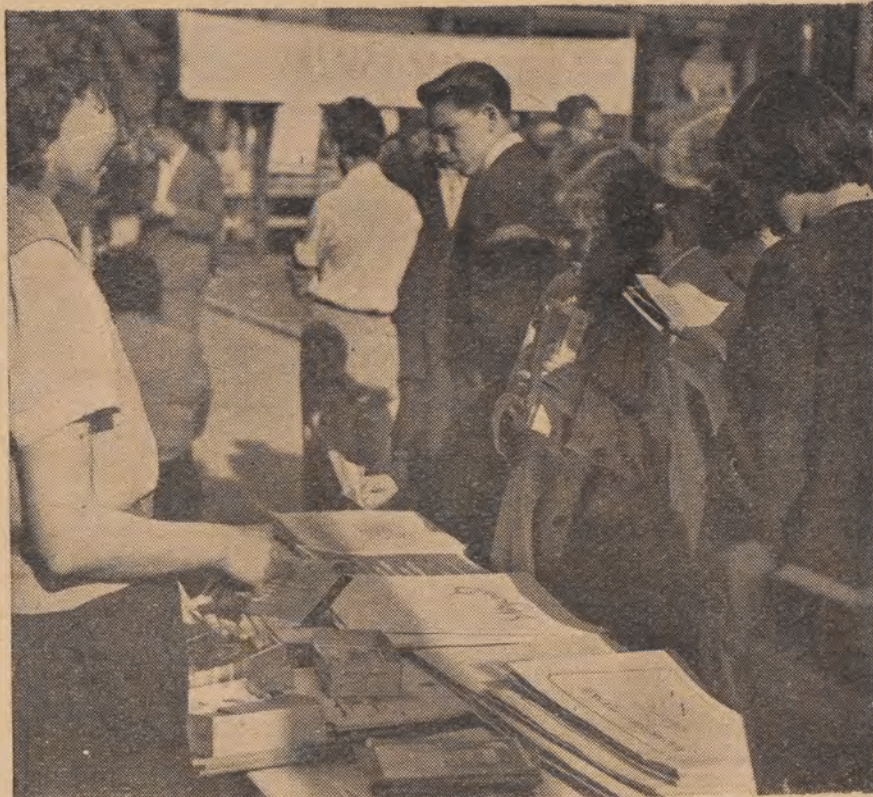
WIELKI DZWON I MAŁE DZWONKI

DNI Oświaty, Książki i Prasy wzmagają zainteresowanie sprawami wydawniczymi, budzą szereg żądań, zarzutów i głosów krytyki ze strony czytelników. Warto by więc rzucić okiem na ubiegły rok pracy nad upowszechnieniem książki, aby dokonać „rachunku sumienia” i ustalić jak daleko posunęliśmy się na przód.

Otóż stwierdzić trzeba, że nastąpił zasadniczy zwrot w metodach i środkach propagandy książki. Porzuciliśmy „wielki dzwon”, zaczęliśmy używać z coraz większą wprawą „małych dzwoneczków” naszej propagandy, a właściwie już reklamy książki — mianowicie informacji czytelników indywidualnych przy pomocy pocztówek zamówieniowych, informacji przez radiowęzły, plakaty i terenowe, przez prasę i radio, odpowiedni plakat, ulotkę, prospekt, imprezę poświęconą książce, konkurs itp. Nauczaliśmy się dostosowywać dystrybucję książki odpowiednio do specyfiki terenu, informować o książce specjalnej, poświęconej wąskiej tematyce, podjęliśmy próby dotarcia na teren wiejski ze wszystkimi formami informacji o książce. Zaczęto realizować mocno wysuwany w roku ubiegłym postulat współodpowiedzialności wydawców za wyprodukowany nakład i konieczności ich współdziałania w rozprowadzeniu książki wśród odbiorców. Wydawcy w roku bieżącym wydają druki reklamowe, organizują imprezy, konkursy i spotkania z autorami w terenie zbierając cenny materiał do planów wydawniczych.

W roku ubiegłym po raz pierwszy wydano drukiem projekty planów wydawniczych poszczególnych wydawców na rok 1955. Jednakże najdawniejsze terminy, w jakich one się ukazywały, małe ilości egzemplarzy i brak odpowiedniej organizacji sprawiły, że dyskusji nad projektami nie przeprowadzono i plan wydawniczy na rok 1955 przeszedł ze wszystkimi błędami i brakami. Trzeba zawczasu skierować pod adresem wydawców i CUW życzenie, aby plan wydawniczy na rok 1956 był w roku bieżącym gruntownie i szeroko przedyskutowany. Nigdy nie nadal pozostawiać odbiorców książki w zupełnej nieświadomości tego, co się dzieje w wydawniczej kuchni.

Na początku każdego kwartału ukazuje się plan wydawniczy na każde następne trzy miesiące jako wkładka do „Zapowiedzi Wydawniczych”, będących podstawą do zamówień dla księgarzy. Wkładka ta daje więc czytelnikowi obraz produkcji wydawniczej,



Fot. L. Olejniczak

kłóćta będzie zrealizowana przynajmniej w 95%, a jednocześnie możliwość zamówienia książek, ponieważ zapowiedzi wydawnicze i plany wydawnicze są dostępne dla klientów w każdej księgarni, gdzie mogą dokonać zamówienia.

Załowac należy tylko, że plany te nie są wydawane osobno w dużych ilościach, ponieważ ograniczony nakład „Zapowiedzi Wydawniczych” stoi na przeszkodzie szerszemu ich rozpowszechnieniu.

Wiele zdziwiać może prasa, że nie ulega wątpliwości — jest przecież jednym z najważniejszych i najbardziej rozpowszechnionych źródeł informacji o książce. Wszystko zależy od tego, ile i jak je podaje.

Recenzja, notka, zestaw, ogłoszenie, artykuł o książce czy czytelnictwie — wszystkie te formy informacji docierają w setkach tysięcy egzemplarzy do rąk prawie wszystkich mieszkańców miast i wsi. Im więcej informacji, artykułów, reportaży, tym większe zainteresowanie czytelników książką, tym bardziej konkretna staje się propaganda książki, jej zbliżenie do odbiorcy.

W roku ubiegłym w łódzkiej prasie codziennej ukazało się 36 recenzji i 118

notek i wzmianek zawierających omówienie 280 książek nie licząc okolicznościowych artykułów i reportaży o książkach, księgarniach i czytelnictwie. W przybliżeniu można powiedzieć, że około 3 razy w tygodniu ukazywała się notatka ich recenzja. Jednakże większość ich przypada na Dni Oświaty, Książki i Prasy, poza tym ukazują się one nieregularnie, od przypadku do przypadku (szczególnie jeśli chodzi o recenzje). Wiele niedzielników numerów „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego” i „Głosu Robotniczego” ukazało się i ukazuje nadal bez żadnej wzmianki lub recenzji o książce. Sprawa to niewątpliwie zaniedbana i dziwne jest doprawdy, że jeszcze dziś trzeba o nią walczyć. A walczyć trzeba. Cyfry te trzeba podwoić i potroić — w imię troski o upowszechnienie książki. Nie można pozostawiać czytelnika — bez pożytecznego i aktualnego materiału informacyjnego. Tylko pod adresem recenzentów inwokacja: — piszcie językiem prostym i zrozumiałym, nie szpiakujcie tekstu „izmami”, nie wdawajcie się w uczone spekulacje literaturoznawcze, bo czytelnik będzie setki tysięcy ludzi, a rzecz przecież w tym, żeby was zrozumieć.

RYSZARD NOWAKOWSKI

* * *

Jeszcze do niedawna sytuację w wielu Kołach Młodych Pisarzy można było określić jako niepokojącą. Dlaczego? Po prostu dlatego, że nic się tam nie działo. Młodzi zdawali się spać snem mowimym. Nie toczono dyskusji, nie odbywały się wśród nich gorące, namiętne spory, nawet twórczość ich była szara, rzecz by można — do jednego sprowadzona tonu.

Było to tym bardziej zastanawiające, że pierwsze powojenne pokolenie młodych odznaczało się niezwykłą wprost ruchliwością. Czyżby miało to oznaczać, że tamta młodzież przyniosła ze sobą więcej talentów? Nie sądzę. Po prostu tamci wkraczali do literatury w okresie głębokich ideowych i artystycznych sporów, wyklócili się ze starszymi, pełni byli wiary i entuzjazmu, chcieli wywierać na nice zastane w sztuce poglądy i kanony.

Inny czas, inna sytuacja. A przecież ogarniał nas żal, gdyśmy porównywali ze sobą te dwa pokolenia młodzieży literackiej. Napisałem w trybie przeszłym: „ogarniał nas żal”. Bo oto od jakiegoś czasu zaczęło się coś nie coś zmieniać. Młodzi jakby się ocknęli z głębokiego snu. Nie pora dochodzić tu przyczyn. Było ich wiele i różnych. W każdym razie jest faktem, że nasza młodzież literacka daje o sobie znać. Pouraca do życia, na twarz jej wchodzi rumieńce — te niewątpliwe oznaki zdrowia.

Zaczęło się przede wszystkim od tego, że młodzi odważyli się mówić o sobie: o swoich przeżyciach, doświadczeniach, trudnościach. Bez fałszu, po prostu. Powiedzieli, co ich boli, co im dokrwiera. W tym względzie okazali się uczciwsi od niejednego ze starszych kolegów. Nastąpiło niekończące się, długie rozmowy. Z tych rozmów poczęła rodzić się twórczość, różna od poprzedniej, inna. Nie miało to słońca, powoli, ale przecież. To, co piszą, często jeszcze bywa nieporadne, natwne, lecz posiada jedną bezcenną wartość: jest szczere. Młodzi mówią prawdę o sobie, o swym pokoleniu, wyrażają swoje przeżycia, wątpliwości, marzenia. Odzyskują własną mowę. Zaczynają odrzucać rzeczy, na które się wewnętrznie nie godzili, a które dotąd przyjmowali jedynie pod wpływem zewnętrznego naporu. Pisali wówczas o współczesności, ale prawdziwej współczesności nie było w ich utworach.

Dzisiaj współczesność, o której piszą (dodajmy, że piszą o niej za mało), zaczyna pulsować i żyć na kartach ich wierszy. Bo jest opromieniona ich własnym życiem, wyrasta z najbardziej osobistych doznań, daje świadectwo wewnętrznych, często jakże dramatycznych zapasów z samym sobą.

Bywam na zebraniach młodych literatów w Łodzi. Obserwuję to, czego dotychczas nie było: wzrost zainteresowań, namiętne utarczki wokół ukazujących się książek i własnej twórczości, wokół problemów i zjawisk naszego czasu.

„Odwił” Erenburga stała się tematem zażartej, wielogodzinnej dyskusji. Ma ona wśród młodych gorących zwolenników, ma i niejednego przeciwnika. Przedmiotem dyskusji był wydany przez „Iskry” — „Almanach literacki”. Jestem przekonany, że planowany przez to samo wydawnictwo nowy almanach młodych będzie stokrotnie lepszy. Bowiem młodzi pisarze są dziś znacznie dalej od tego, co w zeszytowanym „Almanachu” znajdujemy. Przechorowali schematyzm jak oszę. Bezpownotnie, miewny nadzieje.

Serdecznie wojują „strofkarze” z „awangardystami”. Jedni opowiadają się po stronie poezji Broniewskiego i Jastruna, inni — po stronie Przybosa i Rózewicza. Ale wszystkich łączy coraz gorętsze umiłowanie literatury i pasja w dociekanii prawdy o życiu i świecie.

Angażują się emocjonalnie bez reszty. Problemy naszej rzeczywistości nie tylko rozumieją — przyswajają je sobie uczuciowo, w konkretnym, osobistym przeżyciu. Rzeczywistość odczuwają w sposób bardziej skomplikowany tj. bogatszy, wszechstronniejszy i prawdziwszy.

Są w łódzkim Kole Młodych początkujący, stawiający pierwsze kroki, są i tacy, którzy od zbyt długiego czasu przebywają w krainie zapowiedzi. Są to na pewno poeci utalentowani, lecz ich debiutancka młodość ma się ku końcowi i pora już na wykrystalizowanie, bardziej trwale osiągnięcia.

Okres, jaki przeżywamy, zdaje się sprzyjać twórczości i tych pisarzy, którzy na progu swej działalności zatrzymali się w rozwoju. Czas na pierwsze ich książki poetyckie i prozatorskie, nie skażone deklaracyjną tautologią i powierzchniowym ujmowaniem skomplikowanych spraw naszego życia.

Jak to bowiem powiedział w swym, dziś już zapomnianym „Pamiętniku”, Stanisław Brzozowski: „Nastał czas, w którym nie wolno zapowiadać, lecz trzeba dawać rzeczy mogące istnieć, mające chociażby pewne tylko prawa do istnienia.”

JAN KOPROWSKI

RYSZARD DOROBA

Ścieżki

Ja znam już ścieżek niedeptanych cisze,
gdzie mnie młodzieńcza sprowadziła wzgarda,
Na nich wiatr trawy wysokie kołysze...
Na nich na strzepy złudzenia potęgał.

Tam spotykałem omszałe kamienie
w runiczne znaki rzeźbione — na grobie,
co obce światy pokrywa milczeniem.
Nie wyczytałem z nich prawdy o sobie.

Tam zasypiałem od kwiatów zapachu,
których nie było w rodzinnym zieleniku —
ze snu budziłem się z uczuciem strachu,
jakbym czuł zimno obcego dotyku.

I powróciłem gdzie dźwięczy muzyka
słów i melodii znanych mi od dziecka,
na ścieżki, z których śladów łapię z łyka
zachłanna ręka nie starła niemiecka.

Tam powróciłem, gdzie słowiańskie sochy
grunt urodzajny kroili z opoki,
gdzie wiatr rozrzucał poprzekników prochy,
gdzie za mną słyszę mych następców kroki.

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

Conrad

Tu
przelądają się w wodach
topole, białodrzewy
idą w błękit ogromny,
są jak wzburzone fale — wrzosowiska Mazowsza,
kładą się smugi cienia od kapliczek przydrożnych.

On odchodzi za marzeniem o morzach.
— Znajdziesz spokój tam,
gdzie burzę wiatr zachodni nieci...

Jeden go nie rozumie,
inny płacze,
a inny się śmieje.

LESZEK WITCZAK

Chopin

Za oknami kasztan się chmurzył,
drżał fortepian jak gwiazda w mroku.
A drogami nadciągł w kurzu
mazowiecki klonyowy pochód.

Pod palcami, w śpiewnych klawiszach
jakiś ton się uparł i dręczy,
ani światła gwiazd go ucisza,
ani cień przesłania dziewczęcy,

On na wietrze rósł będzie gniewem,
tam gdzie noc w czarnych olchach drzemie,
aż etudy gorącym wiewem
wzdłuż i w szerz przebiegnie ziemie.

ANDRZEJ BRYCHT

Dwa klony w moje okno
wstają szumem zielonym.
To światłem ploną, to mokną
chłodem ku sobie schylone.

A ja się dziwnie obawiam
obejrzeć w przeszłość — kto wie
czym by nas dzisiaj pozdrawiał
wiatr, który w okno dmie...



Rys. H. Brzeziński

JERZY WALEŃCZYK

Nad albumem rodzinnym

Pochyliam się nad fotografią sprzed dwudziestu lat
Kiedy wieczór jesienny trwa
I lampa używa schronienia

Oto świat obcięty do sztywnych kartek
Oto twarze, których nie skrzywi już ból
Oto wargi co miłość poznały

Karty z powinszowaniem, laurki uczniowskie
Fotografie, widokówki zmieszały się pstro
A między nimi wspomnienia, wspomnienia

Tu widzę fabryczny mur. Robotnice
Na murawie. Wśród nich mama bosa
Trzymając na kolanach dziecko w sukience

Stary, poźółkły świat. Tu znów
Prowadzi malowane auto na płótnie
To jedyne auto w jej życiu, jedyne.

Jest ktoś, kto ma zatartą twarz
O innych nie umiałbym powiedzieć więcej
Są wizerunki. Czekam, każ mnie prosić o 18.00

I zegar bije im ten sam, co dzisiaj mnie
Brązowy, ścenny, na raty kupiony
Mrużąc oczy widzę jak jego tarcza lśni

Umarły kładzie rękę na ramieniu
Chłopca w białej bluzie z wysokim kółkiem w dłoni,
Który zaraz zaśnie tu, gdzie tamten umierał.

Nie znajduję oczu ojca. Uciekł
Płaczem dziecka zagrożony
Dziś, po latach, chciałby coś wyjaśnić. Komu?

Pochyliam się nad fotografią sprzed dwudziestu lat
Kiedy wieczór jesienny trwa
A życie udziela krótkiego schronienia.

BOHDAN DROZDOWSKI

Gedaechtnis

W roku 1955
na budowie linii elektrycznej
robotnicy ubijali kamienie

Jednemu się zdawało
że to są ludzkie czaszki

Lali cement

Jednemu się zdawało
że to ciała starte na papkę

Kiedy słup stanął
ten jeden powiedział
Boże, jakie to potworne
i zasłonił oczy rękawem

Pozostali spojrzeli po sobie
wzruszyli ramionami

Ten jeden mówił
Nie zwariowałem
przyjaciele
Tylko pamięć
ta moja pamięć
wyrwiecie ją z moich oczu
zabierzcie

Dość mamy swojej
odrzekli

I poszli ogrzać ręce.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

SPOTKANIE Z PISARZEM

P EWNEGO dnia czerwcowego, o szarym świcie, odwiedził dom moich rodziców Modrzejewski, sadownik, obudził mnie i zaproponował — ni mniej ni więcej — tylko zrywanie czereśni w zakupionym przez niego sadzie.

— Kupilem, widzisz, sad na Wygodzie w Charlupie Wielkiej, „tereśni” (tak to się w naszej gwarze sieradzkiej nazywa) trochę jest i trzeba pędko je zrywać, bo tylko ptaki się nad tym pastwią i niedługo niewiele by zostawiły na drzewach. Chciałbym, żebyś ty szedł i pomógł mi... Będzie jeszcze oprócz ciebie Felek i Franek... Chodź, zarobisz parę kopiejek! Pójdziesz?

— Pójde!

Ważne było to, że pójdzie Felek i Franek, rzecz wiadoma — koledzy, z którymi uwijałem się po lesie wiosną za płakami, a jesienią za grzybami; nie do pogardzenia był zarobek owych paru kopiejek za pracę w sadzie; najważniejsze jednak było to, że rwanie owocu pozwalało na jedzenie czereśni, ile tylko dusza zapagnie, a brzuch pomiesci.

Po drabinach, po pninach, po gałęziach dostaliśmy się w samą gąszcz koron, liści i owocu. Zaczęliśmy rwać i jeść — jeść i rwać. Palce chwytły chłodne paciory wiśni, usta łakomie gnioty je, język doznawał rozkoszy smaku, gardło wchłaniało zmiażdżony miąższ razem z pestką.

Łakomstwo nasyciliśmy bardzo pędko. Okazało się, że pojemność ludzkiego brzucha jest ściśle ograniczona, a zatem i nasze brzuchy, kilkunastu smyków.

Zawieszeni wysoko na drabinie opartej o koronę drzewa, lub też stojąc na ugiętej się gałęzi czereśni, zdejmovaliśmy dojrzały owoc. Trzeba było robić szybko, ale jednocześnie uważnie, żeby nie zrywać wiśni bez ogonka, gdyż takie liczyły się w handlu jako drugi gatunek.

Krótką przerwę obiadową przeryaliśmy z wielką radością. Stopy nasze z rozkoszą stępały na płaskiej, równej ziemi. Odpoczywały. Stępałyśmy po kawałku chleba, Franek i Felek położyli się w cie-

niu drzewa, ja zaś ruszyłem przed siebie w stronę dworku.

Minałem drzewa owocowe, jakąś grabową alejką, potem zbity gąszcz czarnego bzu. Zarośla skończyły się znieczaka, tuż obok biegła szeroko żwirowana ścieżka, za nią na kolistym gazonie widać było kwiaty, a za gazonom — dworek.

Było tu cicho i prawie pusto. Z ludzi — jeden tylko człowiek. Miał na sobie czarne ubranie, na głowie biały, słomkowy kapelusz, pod pachą lewej ręki trzymał książkę. Chodził wzdłuż frontowej ścieżki dworku — tam i z powrotem. Spacerował.

Kiedy zawracał, widziałem błysk okularów na jego nosie i białą plamę kołnierzyka pod brodą.

W pewnej chwili spacerujący pan podniósł oczy i spostrzegł mnie. Nie kryłem się specjalnie — obcość miejsca i czynność, jaka mnie tu sprowadziła, dawały mi odwagi. Nie potrzebowałem się ani bać, ani uciekać. Byłem robotnikiem, a nie gapiem.

Czarny pan zatrzymał się i kiwnął na mnie ręką. Podszedłem i wtedy zobaczyłem wszystkie szczegóły jego wyglądu. I czarny garnitur, i kamizelkę z gumami na nogach, i kołnierzyk, i starogane włosy pod nosem, i niedużą bródkę, dwa szkiełka okularów spięte nad nosem metalowym palątkiem, książkę pod pachą.

— Co ty tu robisz? — zapytał mnie bez gniewu.

— Rwę „tereśni”...

— A skąd jesteś?

— Z Dąbrowy...

— Ile masz lat?

— Wymieniłem ilość swoich włosów.

— Do szkoły chodzisz?

— Kiwnąłem głową.

— A czytać umiesz?

— Umielem...

Pomyślał odrobinkę i rzekł:

— No, jeżeli chodzisz do szkoły i umiesz czytać, to mi tu przeczytasz kawalek...

Podał mi książkę spod pachy.

Wzięłem niewielką książeczkę i oczyma przebiegłem litery na okładce: było jakieś u góry na-

zwisko (nie zapamiętałem go, bo działało się to w tym czasie, kiedy nazwisko autora nic mi nie mówiło) pod nazwiskiem tytuł „Tomek Baran”, pod nim kółko, a w kółku sówka, niżej jeszcze jakieś napisy.

Czarny pan wyciągnął rękę, otworzył książkę na chybił trafił.

— O, tu czytaj!... — powiedział lekko nakazującym tonem.

Zacząłem czytać szybko, płynnie. Pytłować: — „Skoro tylko nadbiegł, zajął przez zamkniętą szybę do wnętrza, ale ciemno było w izbie. Wszedł cicho i zapalił kaganek. Wszystkie dzieci na jednym spaly łóżku, ponakrywane szmatkami, zagrzebane w słomę. W chałupie zmiął było niż na świecie; wilgoć zatekła, przejęta zgnilizną, aż dusiła. Odrapane ściany pokryte warstwą szronu świeciły niby posrebrzone. W miejsce podłogi ubity z gliny tok skostniały od mrozu dudnił głucho pod jego nogami. Nachylił się nad łóżczkiem posłuchać oddechu śpiących, bo go obśledzał strach, czy nie pomarzył”.

— O, to ty dobrze czytasz... — przerwał mi pan w pewnej chwili — a lubisz czytać książki?

— Lubie! — odpowiedziałem bardziej już ośmielony.

Stalem przed nim, bosy chłopczek wiejski w cągowych portkach z przykrótkimi nogawkami, i stał przede mną ów czarny, nieznoimy pan. Był z owego dalekiego i obcego świata, który mnie onieśmiał, a który zawsze chował się w dworku za filarami, za grubymi murami ścian, za ciemnymi tafiłami wielkich okien.

— No, więc tak — obcy pan zawałił się przez króciutką chwilę — ponieważ tak dobrze czytasz, to ci tę książeczkę dam na własność... Masz, weź! Schowałem nabytek w zanadrze, odwróciłem się w stronę sadu i radośnie podniecony skoczyłem do towarzyszy. Czym wówczas tego człowieka za podanek pocałował w rękę i czy powiedziałem „Bóg zapłać”, jak to wówczas było u nas w zwyczaju — tego nie pamiętam.

I Felek, i Franek, i Modrzejewski powitali mnie karcą po tak długiej nieobecności. Robota załagała, robota nagilla, a mnie nie było. Musieli za mnie przecież pracować. Musieli moim lenistwem wyrównać swoim własnym nakładem siły, pracy i czasu.

— Łazisz gdzieś — narzekał Modrzejewski — a

my tu sami musimy się męczyć... Zapłatę zaś będziesz chciał mieć taką samą jak oni, co?

— Ty, słuchaj — powiedział mi Felek moralny gdzieś z wierzchołka wiśni — nie bądź taki mądry... Siedź gdzieś, a my musimy za ciebie robić...

— Powiniem mu Modrzejewski wytrącić z dniówki... — odpowiedział groźnie Franek z drugiego drzewa.

— Czego ode mnie chcesz — próbowałem się bronić — jakiś pan mnie zatrzymał, gadał ze mną i kazał mi czytać książkę...

Z różnych stron i z różnych wysokości synpły się głosy:

— Akurat!... Tłumacz się!... Książkę czytałeś!

— A czytałem! — zaprzeczyłem się.

— Nie bał!

— Nie kłamie! — przeczyłem prawie płacząc — nawet mi ją dał!... O, patrzcie! Patrzcie!

Wyciągnąłem tomik za pachy i pokazałem z daleka.

Argument był bardzo silny. Franek, który lepiej czytał i był bardziej ciekawy książki od Felka, a koszyczek czereśni miał prawie pełny, zsunął się z drzewa i stanął wnet przy mnie. Oczy gorzały mu pożądanem.

— Pokaż!

Wyrwał mi z rąk książeczkę i potrzył po nazwisku, po tytule tak prawie jak i ja przed kilku chwilami. Tuż za mną znalazł się Felek, po nim nadziedziczył wolna Modrzejewski. Stanął z boku, słuchał wyrwyanych z tekstu bez ładu i składu słów, co myślał, co żuł, wreszcie się oderwał:

— Widzicie... Tacyście mali, a czytać umiecie... Człowiek zaś już oświata, a jest jak ten głab...

Rwaliśmy czereśnie do wieczora. Oberwaliliśmy wszystkie. O zmroku wróciliśmy do domu z zapłatą, funtem w koszyku dla rodziny i ze stopami opuchniętymi od stania na cienkich i twardych szczeblach drabin.

Książkę przeczytałem, po mnie przeczytał ją Franek, po nim Felek. Może jeszcze kto więcej we wsł, choć niewiele tu osób posiadało sztukę czytania. Gdy wróciła do mnie, zdobyły ją ślady brudnych od ziemi palców i zakrzywione rogi na okładzinach.

* * *

Po kilku latach poszedłem do drugiej szkoły. W jakimś zdumiewającym przerobionym po fabrycznie budynku mieściła się moja akademia, w której między innymi zacząłem się uczyć historii litera-

tury. Po pewnym czasie wiedziałem, kto to był Jan Kochanowski, a Krasickiego odróżniałem od Krasieńskiego. Czytałem coraz więcej książek, a także oglądałem przy różnych okazjach portrety pisarzy.

Pewnego dnia na jakąś uroczystość szkolną przybrano salę szeregiem świeżo sprowadzonych z Warszawy portretów wielkich Polaków. Niektórych już znałem: Kościuszkę, Mickiewicza, Słowackiego, Chopina. Ale inni byli mi obcy. Nie widziałem ich nigdy. Z pomiędzy nowych twarzy jedna zwłaszcza zdawała mi się być znajoma. Patrzyłem na nią ze zdumieniem, radością, niewiarą jednocześnie... Czyżby ja już gdzieś widział? Ale gdzie?... A może mi się tylko tak wydaje?

Tworząc niedużą, wąsy szorstkie pod nosem, bródkę, na oczach, okulary spięte metalowym palątkiem. Prawie ściśle to samo, co widziałem tam w sadzie, przed kilku laty, tylko wówczas biały kapelusz nakrywał głowę. Tak, ten portret przypominał mi twarz owego pana w czarnym garniturze, pana obcego, który mi na Wygodzie pod Charlupią podarował książeczkę.

Patrzyłem na tę twarz długo i przypomniałem sobie szczegóły zdarzenia: pogodę owego dnia, kolor czereśni, twarz Modrzejewskiego, Felka i Franka, nawet kosze z owocem wladowane na wóz. Z miejsca, gdzie siedziałem, nie mogłem dojrzeć podpisu na portrecie, toteż natychmiast po skończonej uroczystości zbliżyłem się do podobizny zawieszanej koło szkolnej tablicy.

Przeczytałem tam podpis:

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

* * *

Takie było pierwsze moje spotkanie z pisarzem. Książeczkę od Reymonta długo przechowywałem u siebie, aż przypadkiem dostała się w ręce dalszej rodziny — do przeczytania. Tam przeleżała kilka lat i spłonęła podczas działań wojennych w pamiętne dni września 1939 roku razem z innymi książkami we wsi Męka pod Sieradzem.

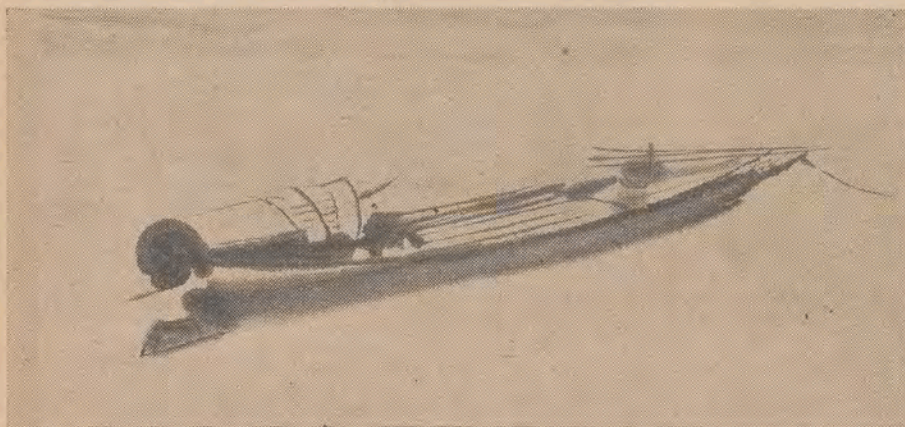
Z akt hipotecznych powiatu sieradzkiego dowiedziałem się, że Władysław Reymont w owym czasie był właścicielem ośrodka majątkowego w Charlupie Wielkiej. Ośrodek ten nabył za pieniądze, otrzymane od towarzystwa kolejowego tytułem odszkodowania za poniesiony szwank w katastrofie pociągu.

Teodor Goździkiewicz

Rysunki chińskie Andrzeja Strumiły



Matka z dzieckiem



Dżonka



Andrzej Strumiły studiował malarstwo w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi i w Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie. Obrazy jego „Za prawo do pracy” i „Nasza ziemia” otrzymały nagrody na ostatnich ogólnopolskich wystawach plastyki. Jesienią 1954 r. Strumiły jako trzeci z kolei, po Tadeuszu Kulisiwiczu i Aleksandrze Kobzdej, malarz polski odbył kilkutygodniową podróż po Chinach Ludowych. Przywiózł stamtąd mnóstwo delikatnych szkiców, wykonanych piórem i tuszem.

Część tych szkiców przedstawia widoki z różnych okolic Chin: pasma falistych gór, szerokie rzeki, rozległe równiny, wśród których polskują serpen-tynny strumieni lub prostokątne zwierciadła pól ryżowych, drogi, wsie, cmentarze. Artysta notuje starannie swoistą rzeźbę terenu, charakterystyczne zarysy gór, drzew, budynków. Przede wszystkim zaś — wydobywa świetnie powietrze, przestrzeń i dal.

Nie tylko „góry i wody” pociągały Strumiły w czasie jego podróży, ale również nowe oblicze kraju i nowi ludzie Chin Ludowych. W licznych studiach portretowych utrwalił on twarze — poważne, skupione, nieraz mocne i energiczne — owych nowych ludzi: górników, robotników i dyrektorów (którzy przedtem sami byli robotnikami) zakładów metalurgicznych i naftowych, włókienników, tłumaczy, aktyvistek spółdzielni produkcyjnych. Dalej aktorów i aktorek opery klasycznej w Pekinie w ich osobliwych, kunsztownych ubiorach głowy — ludzi, którzy przechowują tradycje wielkiej dawnej sztuki chińskiej w dziedzinie teatru, tańca, muzyki i poezji. Wreszcie — rzecz nie najmniej ciekawa — przedstawicieli różnych pomniejszych grup narodowościowych zamieszkujących ogromne obszary Chińskiej Republiki Ludowej, słuchaczy Instytutu Mniejszości Narodowych w Kunmingu.

Olbrzymi przewrót społeczny i kulturalny, jaki się dokonał w Chinach, znalazł swe odbicie, swą czułą rejestrację w rysunkach Strumiły. Widzimy, jak to co nowe ściera się lub przynajmniej sąsiaduje z tym co dawne. Obok pagod o zakrzywionych liniach dachów rysują się stalowe szkielety budowli przemysłowych. Na pola ryżowe wkraczają maszyny z przewodnikami wysokiego na-

pięcia. Kominy, dźwigi, rury naftociągów wprowadzają do pejzażu nowe elementy. Dżonki o dziwnych prostokątnych żaglach przemierzają jeszcze wody Jangtsekiangu, ale w portach czekają na ładunek nowoczesne okręty transportowe.

Niektóre szkice Strumiły znakomitym wyołoceniem przestrzeni przywodzą na myśl rysunki, w których Rembrandt przy pomocy paru kresek i zrysków wyzwarował wielkie niebo i nieskończoną dal nizin holenderskiej. Jeszcze silniej narzucają się tutaj wszelkie analogie z chińskim malarstwem pejzażowym. Szukawość, zwięzłość, największa oszczędność środków; operowanie sugestijnymi skrótami, niedomówieniami, które pozwalają wrażliwemu widzowi niejedno „w duszy swej dośpiewać”; częste pominięcie w widokach pierwszego i średniego planu, ujmowanie pasm górskich, dróg, osiedli z tak wielkiego oddalenia, że budynki, drzewa, postacie ludzkie stają się drobnymi plamkami, giną niemal w ogromnej przestrzeni; upodobanie do formatu poziomego, rozciągniętego w szer, który pozwala na ogarnięcie rozległych horyzontów; umiejętność przedstawiania oddali, wody, mgły; nastrojowość, delikatny rytm, rzadziej dramatyzm; szeroki, swobodny, lekki dukt pędzla; kunszt wydobywania z tuszu, przez odpowiednie rozcieńczenie go, bogatej skali tonów i półtonów — od matowej perłowej szarości do głębokiej, lśniącej, aksamitnej czerni; — wszystko to łączy rysunki Strumiły z dziełami malarzy chińskich, zwłaszcza z dziełami chińskiego malarstwa pejzażowego z okresu jego największego rozkwitu za dynastii Sung (X—XII wiek). Analogie te są tak uderzające, że nie sposób wytłumaczyć ich wyłącznie podobieństwem tematu i techniki. Świadczy o tym, że Strumiły nie tylko przeżył intensywnie pejzaż chiński i nowe oblicze Chm, ale również przejął się głęboko chińskim malarstwem pejzażowym. Nie ma tu zresztą mowy o jakimś powierchownym lub zgola mechanicznym naśladowaniu. Jest to twórcze przyswojenie sobie niektórych zdobyczy wspomnianego malarstwa.

Rysunki Strumiły nie tylko, wraz z rysunkami Kulisiwicza i Kobzdeja, wzbogaciły sztukę polską o nowy temat — Chiny Ludowe, ale nadto przyswoiły jej szereg doniosłych zdobyczy chińskiego malarstwa pejzażowego.

BYŁAM tam po raz pierwszy w listopadzie, gdy od Odry zawiewał wilgotny ziąb, rozkiszła ziemia miesiły gąsienice traktorów, a ludzie wydzielali z ziemi ostatnie buraki. Życie pionierów na tym trudnym ugorowym odcinku, kotłowało się od skłębionych konfliktów. W młodych zapaleńcach zetempowskich wiały romantyzm. Chłód, nieraz głód, niskie zarobki, daremne nieraz wyczekiwanie na pomoc w walce o najprostsze warunki bytowe, odbierały wolę wytrwania. Brak opieki nad pionierem, brak troski o rozrywkę i zajęcia po pracy sprawiała, że część młodzieży, pozostawiona sama sobie, spadała w jakieś dno rozwalności obyczajowej, pijaństwa, abnegacji, nierobstwa. Chuliganeria, spowodowana tu przez lekkomyślnych organizatorów zaciągu z pewnych ośrodków kraju, brała górę nad elementem wartościowym, ale niewyrobionym, niedojrzałym, słabym. Społeczeństwo miejscowe, samo nie bez przywar, odżegnywało się od pionierów, pomawiając wszystkich hurtem o opilstwo, rozwydrzenie i o demoralizowanie „dobrej młodzieży wiejskiej”.

A jak jest teraz?

Jedziemy do Owczar w słoneczny, prawie że wiosenny dzień. W powietrzu czuć wyraźnie zapach rozmięklej ziemi. Na drzewach kosmacą się baze, w gąsienicach nawołują się ptaki. Już z daleka widać świecący czerwonością cegieł i dachówek duży, piękny DOM KULTURY w Owczarach. Będzie on mieścił przedszkole, świetlicę, bibliotekę, a także mieszkania dla pracowników PGR-u. W gospodarstwie jednak jakoś cicho i pusto. Gdzie się podziała moja kipiąca gniewem i gorczyzą listopadowa gromadka, która zrazu chciała przewrócić PGR do góry nogami, a potem sama w sobie rozprzegła się jakoś i rozpadła?

Idziemy do zabudowań. W izbach, gdzie dawniej stały ściśnięte przyce, teraz widzę po dwa przytulone do siebie kózka. Nie ma na razie ciasnoty mieszkaniowej, bo... nie ma połowy pionierów. Nauczycielka Ewa, która starała się w listopadzie wyrwać z PGR-u do szkoły w sąsiedniej wsi, po wielu bezsensownych trudnościach, dostała się wreszcie do szkoły w Słubicach, gdzie prowadzi drużynę harcerską, zakłada ZMP i uczy biologii. Nie ma także Aliny Zawiaślak — przeniesiono ją do Komitetu Powiatowego w Słubicach. I nie ma Celiny Ulinowicz, która obiecywała na złość wszystkim zostać, a wyjechała, dając słowo, że wróci i — nie wróciła. Nie ma młodego frezera z Warszawy, który wyjechał po jakiejś nocy, kiedy przywołana na teren PGR-u milicja chciała wejść do pokoju, gdzie wspólnie spały dziewczęta z chłopcami. Uciekł, mówiąc: „Przyjechałem tu zrobić coś wielkiego, a tu milicja chce mnie aresztować? Nie chcę, aby mnie kontrolowano z kim śpieć!” I nie ma Sławka z Zeranina. Tak skończyła się dla niektórych „romantyczna przygoda”, walka o wieś socjalistyczną.

W ten sposób — rozluźniło się, jeżeli chodzi o warunki mieszkaniowe. Tym, co pozostali i pokójarli się w parę, dano oddzielne izby lub małe mieszkanie. Jedna para już się pobrała, druga ma zamiar to zrobić. Małżeństwa starają się jakoś ułożyć życie, udeptać wygodniejsze gniazda. Nie zawsze jest lekko. Zima szczególnie dała się we znaki. „Węgla nam nieraz brakowało — powiadają pionierzy — dzisiaj przywieźli mokre drzewo, ani rusz nie chce się palić, no to rąbiem akacje za domem, nie będziemy marznąć!” Nie wiem, czego żałować bardziej — marzących ludzi, czy pościnanych akacji. Jednych i drugich szkoda. Zarobki zimą były niskie, dla brygad podwórzowych i połowych dniówka wynosiła przeważnie dwanaście złotych. Jeśli zaś była praca na normy — no to ten, co ma krzepkę, co zdążył przywyknąć do fizycznej pracy, wyrobił, bywało, 25—30 zł. dziennie. Przeciwnie jednak pionierzy nie przekraczali jeszcze norm, co w rezultacie dawało także mniej więcej 10—11 zł. dziennie. Lepiej się mają pracujący w transporcie i w warsztatach.

— A cóż z pomocą zimową — pytam — zagwarantowaną uchwałą Rządu.

— No żeby nie tych 200—250 zł. miesięcznie, które dostaje się zimą — odpowiada jedna z pionierek — to na prawdę, nie wiem, jak przyszło by żyć.

— A ciepła odzież? Dostaliście?

Owszem, stare ciuchy po „Służbie Polsce”. Na ten temat można się było nasłuchać. Pionierzy bowiem dostali wawowane, niewyprane nawet kombinony, bieliznę i buty po brygadach SP. Z tych butów ciężko było coś wybrać. Jeżeli było coś całego, to takie „na zlecenie”.

Sypią się zażalenia, skargi: a to, że kierownik samowolnie nie wciągnął kilku pionierów na listę do zasiłku, że młoda matka nie dostała wyprawki dla niemowlęcia, że...

Nowy przewodniczący słubickiej rady zakładowej słucha wszystkich zażaleń z powagą i widoczną przykrością. Zapisuje, obiecuje załatwić. Tak — drodzy towarzysze słubicki, wszędzie trzeba samemu pojechać, zobaczyć na własne oczy, wysłuchać skarg, rozpatrzyć. Bo uchwała to jedna sprawa, jej wykonanie to druga, a kontrola wykonania — jeszcze inna sprawa. To jest więc z masami. Po naszej wizycie będzie trochę ruchu w Zespole, parę telefonów do Wydziału Rolnego PRN, do Komitetu Partii. Po paru dniach bolączki zostaną usunięte. Ale następne rosną ciągle.

WANDA KARCZEWSKA

DROGA DO

Tak się ucierają sprawy pionierów. Podobnie jest w innych gospodarstwach tego Zespołu. Elementy inteligencji, słabsi fizycznie, drobne dziewczęta odeszły z PGR-ów. Niestety dawni pracownicy aparatu zetempowskiego przechodzą do aparatu społeczno-administracyjnego na tamtych ziemiach.

Czasem, jak w przypadku Stasi Kozaczuk z gospodarstwa Czerwone, idzie się za daleko. Przewodnicza pracy wzorowej brygady sadowniczo-warzywniczej, mającej piękne osiągnięcia — 250 proc. wyrobienia normy — przeszła do „biurowej roboty” w powiatowym ZMP. Jaki w tym sens? Kiedy z perspektywy pół roku patrzę na sprawę zaciągu, widzę, że na terenie Słubic odpadli, wróciwszy do domu, czy przeniosłszy się do pracy poza PGR-ami, w dużej mierze właśnie ci najbardziej „romantyczni”, zapaleni. Ci co chcieli „naprawiać świat”, dokonać „czegoś wielkiego”. Wygaśli oni jak lont, wypaliwszy się gwałtownie. Ale wstrząś — zaciąg — był. Niejedni zdają sobie sprawę z funkcji jaką spełnili. Mówią: „No tak, ale gdyby nie my, gdyby nie nasz zapal, zaciąg byłby się w ogóle nie udał. A tak, to chociaż trochę ludzi do pracy w gospodarstwach zostanie”. Jest to raczej smutna pociecha. Ale co powiecie — w wielu tych co odpadli jest jakaś tęsknota do „pejnego życia w PGR-ach”, jego bujności, chwili... kiedy marzenia o przekształceniu życia wsi na Ziemiach Odzyskanych — były młode, żywe, na pozór łatwe do spełnienia. Jest żal, że się nie umiało ich spełnić, że prawdziwe trudności życia przerosły siły marzycieli. I jest świadomość, że oni drogę najtrudniejszą przetarli, że następnym będzie już łatwiej. I w niektórych jest trochę skrywanej zazdrości w stosunku do tych, co zęby zacieli, co zostali i powiadają: „a my jednak do jakichś fachów dojdziemy i do zarobków też i żyć tu będziemy. My nie wrócimy!”

Kultura wciąż leży

KIEDY byłam tu jesienią, świetlice poza tym, że istniały jako pomieszczenia przeważnie zimne, brudne i puste, faktycznie nie egzystowały. Teraz kontroluję kilka świetlic: Pławidła, Pamięcin, Golice, Owczary i Górzce. Stwierdzam jedno osiągnięcie — w świetlicach wyświetla się dwa razy w miesiącu filmy naukowe i fabularne. Poza tym jednak są one absolutną fikcją: wyzabrowane z mebli, zimne, puste. Brak aparatów radiowych, brak sprzętu, brak odpowiednich młodzieżowych i fachowych czasopism, brak śladu pracy K.O., brak instruktorów, kompletne nieistnienie jakichkolwiek zespołów artystycznych, czy samokształceniowych. Jeśli gdzieś, jak w Golicy jest ciepło, czysto, jeśli ściany są udekorowane, a meble ładnie poustawiane — to i tak nikt na ogół nie przychodzi. „Co się małaż po wsi, naproszę — przyjdzie. Nikt nie chce przyjść, każdy woli siedzieć w domu” — tłumaczy mi młodzieńki świetlicowy, siedemnastoletni chłopiec. I nie dziwnego, że nie przychodzi. Co ma ich przyciągać?

Gdzie przyczyny tego wszystkiego? Przyczyny leżą na dłoni. Owszem, trzynaście świetlic w trzynastu PGR-ach jest. Statystyka działa, statystykę przedstawia się w powiecie, w województwie, w ministerstwie. Na podstawie statystyki działacze i politycy kultury twierdzą, publicznie: „Jesteśmy dumni, że w dawnych pałacach junkierskich są świetlice, że rozbrzmiewa w nich pieśń polska i poezja narodowa!” W istocie zaś młodzież pegerowska nie może się doprosić o radioodbiornik, o stół pinpongowy. Nie ma go, bo ten stół kosztuje 750 zł, może więc kiedyś zrobi się go systemem gospodarczym. Panuje tu rozpowszechnione na ogół pojęcie, że do robienia np. butów potrzebny jest warsztat, stół, młotek i — szewc fachowy.

wiec, ale do „robienia kultury” może być byle kto. Szerzenie kultury to najczulsza, najprecyzyjniejsza praca nad ludzkim sercem i umysłem i właśnie tu trzeba fachowców, nie papierowych K.O. i z „bożej łaski” świetlicowych. Dopóki ich nie będzie — świetlice nadal będą fikcją, praca kulturalna zamknie się w ramach frazesów.

Nie wiem jak gdzie indziej, ale tutaj dzieje się zbyt wiele różnych opacznych historii, tyle tu niedopatrzonych możliwości, zmarnowanych okazji. Ot, sprawa nie nowa — Jerzego Matusiaka. Ten człowiek ukończył roczne studium W.F. przy Akademii we Wrocławiu, był osiem lat instruktorem łódzkiej „Gwardii”, ma dyplom instruktora I Klasy Państwowej, pali się do organizowania życia sportowego młodzieży słubickich PGR-ów, zaoferował się systemem gospodarczym doprowadzić do użytku zniszczony basen kąpielowy, mówił o ogromnych możliwościach wykorzystania wielkiego stadionu (Słubice to dawny prawobrzeżny Frankfurt), — tymczasem organizację życia sportowego powierza się buchalterce i pracownikowi sadu, których wysłano na parotygodniowy kurs instruktorów świetlicowych.

Owszem, podnoszenie i rozszerzenie kwalifikacji to bardzo pożyteczna rzecz, ale tutaj dzieje się coś, co mi przypomina zasadę: im gorzej tym lepiej.

A sprawa obiecanych domków rodzinnych dla małżeństw pionierskich, przy których mogłoby oni hodować trochę inwentarza, wspomagając swój niewysoki budżet domowy? To, że słubickim pionierom nie dano ich, bo w istocie na razie gotowych obiektów do użytku nie było, to jest inna sprawa. Gorszy jest jednak fakt, że kiedy dwaj pionierzy znaleźli takie domki i gotowi byli je we własnym zakresie wyremontować (na tych ziemiach jest pełno opuszczonych i niszczących domów), to Wydział Rolny PRN zastosował taką taktikę, wysunął tyle napórów słusznych sprzeciwów, że ludzie ci, uchodzący sobie nogi po urzędach i urzędnikach, odbywszy niemal całą pielgrzymkę od Annasza do Kaifasza, zmęczeni i beznadziejnie machnęli w końcu na ten cały kram ręką, aczkolwiek ostatnie zdanie, jakie ja usłyszałam w tej sprawie w Komitecie Powiatowym Partii brzmiało: „Ach ten Wydział Rolny! Nie, ci ludzie muszą dostać te domki!”

A sprawa zasiłku rodzinnego? Jeszcze na jesieni wspominały mi rodziny pionierskie, że mimo obietnic danych im przy zgłaszaniu się na zaciąg, do tej pory nie wypłacano im zasiłku w kwocie 2.000 zł. na zagospodarowanie się. Wydział Rolny, którego kompetencji ta sprawa polega, „nic o tym nie wie”. Sprawę tę poruszał na zjeździe ZMP w Warszawie publicznie pionier Filipczak, Łódzianin, obecnie magazynier w Słubicach. Jakiś działacz, którego nazwiska pionier nie zapamiętał, przyrzekł tę sprawę centralnie załatwić i w ciągu tygodnia dać telefonicznie odpowiedź. Odpowiedzi nie dał. O zagadnieniu tym rozmawiałam z sekretarzem Komitetu Zespołowego.

Otóż okazuje się, że Zespół interweniował w tej sprawie w miejscowym Wydziale Rolnym, niestety, oświadczone tam, że „Wydział” nie ma żadnego zarządzenia Ministerstwa Finansów. Wszystko to razem wygląda nieładnie, niepoważnie i szkodzi sprawie zaciągu, podrywając przy tym zaufanie do władz. Nie wolno dopuszczać do tego, żeby ktokolwiek mrużył cynicznie oko, gdy się pokazuje odezwe ZG ZMP do młodzieży: „PAŃSTWO STARA SIĘ ZAPEWNIĆ MŁODYM RODZICOM POMOC I ODPOWIEDNIE WARUNKI ZAGOSPODAROWANIA” i żąda spełnienia ściśle określonych obietnic.



Feliks Zb. Turski — Pejzaż podmiejski

ŚWIATŁA

Głęboko sięgają korzenie

KIEDY przyjeżdżam do Ślubic i widzę, jak pracownicy PGR-u, zarówno kierownicy, jak i prości robotnicy, łącznie z pionierami, przychodzą do mnie, przedstawiają swoje troski i swoje spostrzeżenia na temat „tamtejszych pegeerowskich porządków” — cieszę się, że potrafiłam zdobyć zaufanie tych ludzi, jako pisarz. Ogarnia mnie jednak ból, gdy ludzie ci, pokazując artykuły w prasie pytają:

— Jak to jest? Czy może u nas tylko jest tak, a gdzie indziej inaczej i piękniej? Dlaczego Warszawa może mieć Filharmonię, Operę, teatry, kawiarnie, pomniki, stadiony, dlaczego miasta mają wszystko, dlaczego do wsi centralnych jeździ Teatr Wiejski z Łodzi, ekipy Artosu, dlaczego gdzieś indziej są wiejskie zespoły taneczne, orkiestralne, a tu nie ma nawet 750 zł. na stół ping-pongowy? Wielu z nas — powiada — zna Łódź, Warszawę, Kraków, zna kraj. Nie jesteśmy ślepi, widzimy osiągnięcia nauki, kultury, budownictwa, życia sportowego, znamy Instytucje i zakłady pracy, które mają własne teatry, bale, fundusze na najrozmaitsze akcje kulturalne i socjalne. Dlaczego te ziemie żyłne, które powinny mlekiem i miodem płynąć, bogaci cały kraj i swój stan posiadania, są tak zapuszczone, a chćiej co ruszyć — to idzie jak z kamienia. Nawet ten zaciąg pionierski trze się, jak nowa niedotarta maszyna, zgryzta, trzeszczą, choć są w nim ambicje i pracowici ludzie...

A właśnie! Sprawy pionierów i konfliktów, jakie się tu nawarstwiły dokoła zaciągu, nie da się oderwać od stanu gospodarki i układu stosunków na ziemiach powiatu ślubickiego.

Kiedy przyjechałam na jesieni tu po raz pierwszy, już po tygodniu zadawałam pytanie: czy na terenie trzynastu PGR-ów ślubickich jest choć jeden inżynier-agronom z wyższym wykształceniem i kilkuletnią praktyką? Gdzie podziwiają się wychowankowie SGGW i wyższych szkół rolniczych z Warszawy, Poznania, Krakowa, Lublina? Dlaczego fachowców z najwyższymi kwalifikacjami nie ma tu, gdzie niektóre PGR-y są obrazem nieudolnej, przestarzałej, nieraz gnuśnej, a czasem wręcz sabotażowej, rabunkowej gospodarki, tu, gdzie jest najlepsza madowa ziemia i najgorsze plony, gdzie gospodarka przynosi rocznie kilkunastomilionowy deficyt? Dlaczego tu nie ma fachowców? Dlaczego nie ma ludzi do pracy? Co zrobiono, żeby tych ludzi przyciągnąć? Czy na te trudne, ugorowe gospodarstwa nie powinno się ścigać ludzi wyższym uposażeniem, możliwościami wyższego zarobku?

Kiedy jedzie się furmanką z robotnikami, kiedy się rozmawia z prostymi ludźmi w polu — słychać ciągle:

— „Pan! jak to jest, że dawniej ziemia dawała tutaj przeszło trzydzieści kwintali ziarna, a teraz niby dwa — naście się zbiera, ale więcej jak połowa tego się zmarnuje, zgnije w polu?”...

Odpowiedź na to jest. Dają mi ją brygadlerzy, kierownicy gospodarstw i prości robotnicy. Daje odpowiedź narada produkcyjna, chyba przełomowa w dziejach ślubickich PGR-ów. Mówią na niej o przyczynach zaniedbania i drogach ratunku z ciężkiej sytuacji wszyscy: mężowie zaufania z Biskupic i Czerwonego, mówią kierownicy gospodarstw, pracownicy zespołu i nowy dyrektor, Owczarek, którego udało się w Ślubicach zatrzymać. Wygarniają wszystko to, o czym oficjalnie się milczało, ale o czym wszyscy dobrze wiedzieli, o czym najgłośniej krzyczą nasi wrogowie, a co raz należało wyrzucić na wierzch, a wyrzuciwszy, zakasać rękawy, zaciągnąć pięści i zniszczyć zło z korzeniami. Mówi się — powiada ktoś

— nasza ziemia przestaje rodzić, mamy coraz gorsze zbiory, a nawozy sztuczne przez trzy i cztery lata leżały w ślubickich magazynach. Kiedy je wreszcie wydano — nie miały już swojej mocy. Teraz z kolei — nawozów sztucznych brak, o nawozy organiczne nie było troski. Mówi się — brak paszy, ale setki hektarów łąk i pastwisk stoją pod śniegiem. Nie pilnowano przy tym łąk i pastwisk, nie nawożono ich. Mówi się — rak ludzkich do pracy mało, ale nie było zbyt wiele troski o ludzi pracy, o to, jak mieszkają, ile zarabiają, co jedzą. O premiowaniu robotników rolnych, które jest jednym z sposobów podwyższenia zarobków robotnika — zapomniano. Ale premię dostał zwolniony obecnie na szczęście kierownik Czerwonego, pod którego adresem padały obecnie zewsząd żelźwe słowa, który marnował gospodarstwo, maszyn i dawał przykład hulastwemu życiu. Mówi się, że kierownicy gospodarstw nie wiedzą, co jest z pola sprzątnięte, co zostało na polu. Mówi się, że żaden termin prac rolnych nigdy prawie nie był w Ślubicach dotrzymany ani dopilnowany, co oznacza zawalenie planu i klęskę gospodarstwa, bo na przykład, gdy w r. 1954 nie zrobiono na czas podorywek, to w konsekwencji nie wykonano siewów jesiennych. Nie skończono na czas omlotów, nie ma ziarna do siewu, buntują się robotnicy, którym nie wypłacono deputatów. Nie wypłacisz ludziom, ludzie są źli, źle pracują.

A kradzieże? Kradli kierownicy, z nimi nieraz buchalterzy: kradziono — słyszę na naradzie — zboże spod siewnika, co jest największą zbrodnią, bo oszukuje się ziemię. Brak z magazynu pasze oborowy, przez którego nie kontrolowany: brak... nie wylizysz wszystkich na wolowej skórze. Za wiele trzeba było papieru, aby z kolei mówić o głębszych tego przyczynach. Za wiele trzeba było drążyć, bo głęboko sięgają korzenie gospodarki na ziemi ślubickiej. Korzenie sięgają tych czasów, być może, kiedy na Ziemię Odrzańską wraz z elementem twórczym i przedsiębiorczym zjechali ludzie o niepewnej przeszłości, a czasem tacy sami „pionierzy-szabrownicy”, jak ci, którzy zasiedli Mazury i Warmię. Część z nich wrosła przez dziesięć lat w kresowe nadodrzańskie ziemie i tkwi w niej, powiązana ze sobą wspólnymi interesami.

Dociekając w swym sumieniu przyczyn wielu negatywnych zjawisk na nadodrzańskich ziemiach, zastanawiałam się po wielu rozmowach z tamtejszymi ludźmi, czy np. czujność lokalnych władz w walce z wrogiem zawsze szła po właściwej linii? Czy nie ulegano tu schematyzmowi myślenia? Spotykam się w terenie i w lekturze z życia PGR-ów z uproszczonymi sądami, że wrogiem w gospodarstwie rolnym są tylko dawni obszarnicy. Boję się, że dostrzegając głównie obszarników i kulaków i im podobnych, za mało zwracano uwagi tutaj na tych, którzy, być może, mieli usta pełne frazesów, a w kleszeniach lepkie ręce. Byli kierownik Czerwonego był przecież pracownikiem Komitetu Powiatowego w Ślubicach. Czy towarzysze nie znali go z pracy? Na jego gospodarke patrzano przecież nie miesiąc, nie dwa. Patrzył Komitet, patrzył Zespół, patrzyli pracownicy gospodarstwa. Czy nikt nie widział tego, o czym nagle wiedzą wszyscy dzisiaj, o czym dokładnie na moją prośbę opowiada mi nowy kierownik Białego, który przejął część ziem, gdzie gospodarzył przedtem ów właśnie usunięty kierownik?

Kierownik Lipowski mówi mi:

— Nie mogąc dowiedzieć się od nikogo, gdzie sięgają granice mojego gospodarstwa, gdzie co zasiane, chodzę

lem długi czas po polach jak błędny. Świerdziłem, że na około 200 hektarów łąk, około 100 hektarów jest nieskoszonych. Teraz w lutym kosimy trawę. Około 25 hektarów kosiliśmy nasiennej skoszone we wrześniu. Ale zebrano ją dopiero w stanie zgnilym w grudniu. Teraz zgnię dajemy bydłu. Chodziłem po polach: tu kartofle niewybrane, tu trawy nieskoszone, w krzakach znajdowałem to grabiarke, to kośarkę, to widły... Większą część maszyn rolniczych, jakie potrzebne mi są do gospodarstwa, znalazłem w polu znieszczone. Gdyby tak to wszystko wyłowić, zakonserwować, byłoby to dziesiątki tysięcy złotych. A w ramach Zespołu?

Lipowski, patrząc na okoliczną gospodarkę, jest — podobnie jak nowy dyrektor Zespołu — zły, tylko zły w bardziej agresywny, porywczy sposób. Chce poprowadzić gospodarkę inaczej, chce dowieść, że można tutaj gospodarować lepiej. Mówi, że nie wszyscy ludzie źle pracują i są nieuczciwi. Ludzie są tylko czasem zastraszeni. Władząc, że wyży od nich patrzą długo na marnotrawstwo, lękają się iść ze skargą, narazić się może potem na przykrości, może na utratę pracy. Ale nie mają zamkniętych oczu. Widzą i liczą wszystko. Czasem biorą, niestety, przykład z góry.

O zniecierpliwionym Lipowskim, żądającym pomocy: wozów, uprzęży, koni, narzędzi, żarówek — wszystkiego, co potrzebne do zaprowadzenia nowego gospodarstwa, krytykującym ostro niedociągnięcia Zespołu, urzędów i władz, powiadają niektórzy: Eee, narzyna się chłop, krzyczy. W końcu sam osiadł w tym mule. Jak zobaczy, że tego nie ma, tamtego brak, to przejdzie gorączką.

Co do mnie, nie chciałabym, aby Lipowski „osiadł na mule”, nie chciałabym, aby zawiódł. Nie wiem, czy nauczy się „mieć dużo czasu”, wiem jedno: dobrze, kiedy ludzi ogarnia gniew i gorączka, aby wytrwali w postanowieniu: „dowiedziemy, że można tu gospodarować inaczej, lepiej”!

W Ślubicach — dnieje

ALE dobrymi chęciami — powiadają — jest piekło brukowane. W Ślubicach nie tylko trzeba obradować, stwierdzić zło, znaleźć teoretyczne środki zaradcze — ale istotnie zrobić to wszystko, o czym mówił dyrektor, kierownicy, mężowie zaufania. To zresztą, o czym mówi uchwała Prezydium Rządu, rozważana na naradzie. Zebrać siły — gniew, zapal, wspomóc ludzi tam najlepszymi kadrami pracowników z kraju, wśród których nie może zabraknąć inżynierów — agronomów, zootechników. Przyciągnąć ludzi większymi zarobkami (przebiega się narzeczcie o tym, że uposażenia w gospodarstwach ugorowych i wszelkie zarobki mają być wydatnie podniesione), otoczyć troską człowieka pracy, dając o jego mieszkaniu, życie, zarobek, o rozrywkę kulturalną — oto jedyny warunki w których ziemia te mogą się dźwignąć.

W tej chwili, po odłączeniu od ślubickiego Zespołu kilku gospodarstw, zostały przy nim niemal same PGR-y pougorowe, bez ziarna, bez zapasu paszy (aby wytrzymał do zielonej paszy — mówią), w części gospodarstwa zdevastowane nieudolną gospodarką, dające ogromny deficyt.

W tej chwili, jeśli chćiej spojrzeć z głębią troską i przejęciem — sytuacja Ślubic przypomina mi położenie młodego pasterza, bohatera książki Ramuza „Pastwiśko na Derborence”, kiedy to zawałiła się góra i szalał pasterz został głęboko pogrzebany pod glazami. Przez szereg tygodni, z paroma kromkami suchego chleba i wodą ściekającą z glazów, pasterz przetrwał przez szczytyny pośród nich, szukając przemyku, którym wydostanie się — z ciemności na światło dzienne.

Tam, nad Odrą, też jest ciężko. Robotnicy mieli niewypłacony deputat. O ziarno na siew miano się starać. Pasze dla zwierząt trzeba zracjonalizować do minimalnej dziennej racji, na tyle, aby konie i krowy nie padały, aby przeżyły do paszy zielonej. Będą to tygodnie poszukiwania drogi wyjścia z ciężkiej sytuacji, z ciemności — na światło. Ale droga ta zarysowuje się. Po raz pierwszy nie narzucono gospodarstwu planu zasiewów z góry, ale opracowano je na podstawie planów poszczególnych PGR-ów. Zarysowują się tendencje do oczyszczania terenu z ludzkich szkodników. Widzi się — późno, ale widzi się — że stabilizacja kadr, a nie ciągłe zatrudnianie pracowników „na delegacjach” może dać jakiś pozytywny rezultat.

Oby Ślubicę przedarły się z ciemności do światła.

A pionierzy? — zapytacie. „Nie odróżniamy pionierów od innych pracowników pegeeru” — proponowali mi ślubicy ludzie. — „Wszyscy mają jednakowe prawa i obowiązki, o wszystkich pracowników pegeeru trzeba jednakowo dbać”. Zgoda. Ale wy, od których zależy zaciąg pionierski, spojrzcie na trudności życia na ugorach, zastanówcie się: — jakich ludzi tam trzeba.

JAN JÓZEF LIPSKI

PARADOKS CZY ZDROWY ROZSADEK



Jerzy Szaniawski
(Zdjęcie z 1933 r.)

MYSŁE, że wszyscy czytelnicy „Profesora Tutki”¹⁾ zrozumieją mnie natychmiast, gdy powiem, że mimo mistrzostwa „Domu” i „Zegarka”, mimo zadziwiająco, niepokojąco nawet subtelnych, perwersyjnych niemal opowiadań „Ogród na wydmiu” i „Dziewczę z miasta”, mimo nieprzeciętnych walorów artystycznych „Jedenastu opowiadań” i „Łgarzy pod Złotą Kotwicą” — mam ochotę pisać przede wszystkim o profesorze Tutce.

Gdy szukam najogólniejszej formuły, która by określiła intelektualną postawę prof. Tutki — przypominam mi się w sposób natargowy i kategoryczny Karol Irzykowski. To co najistotniejsze w postawie myślowej bohatera opowiadań Szaniawskiego — wydaje mi się jakby artystyczna transpozycja najistotniejszych cech metody intelektualnej Irzykowskiego. Myśliciel ten pośądżany niesłusznie o cyniczne choć bezinteresowne kondotierstwo w służbie dowolnie założonej idei, a nawet tylko możliwości myślowej, oskarżony o coś, co bym nazwał rozwiązłym, nieodpowiedzialnym klerkizmem — należał w dwudziestolecie międzywojennym do najuczciwszych intelektualnie, najciekawszych i myślowo najbardziej odkrywczych pisarzy burżuazyjnych. Gdy nauczymy się odczytywać w jego pismach istotne dla tego typu twórczości sensy wielkich paradoksów, ukrytych nie w jednym zdaniu, lecz w architekturze całych wywodów, gdy nauczymy się odczytywać znaczenie jego propozycji wyrastających z ducha metodologicznego, nie merytorycznego sceptycyzmu — przyjdzie wtedy czas na sprawiedliwe sprostowanie jego pomyłek. Tymczasem, tak jak jest w chwili obecnej — wspólne do pewnego stopnia losy twórczości Szaniawskiego i Irzykowskiego są wynikiem częściowego pokrewieństwa ich postaw.

Wspólnym mianownikiem jest tu technika paradoksu. Rozumień czytelników, którzy obeznani z wilde'owską metodą paradoksu i z inną, bardziej poznawczą i zintelektualizowaną, lecz strukturalnie pokrewną, techniką paradoksu szawowskiego — czują niechęć do kontynuatorów tej drogi. Rzecz w tym, że technika paradoksu w „Profesorze Tutce” jest czymś innym, jest nowatorstwem artystycznym — tak jak technika paradoksu w krytyce i publicystyce Irzykowskiego mogła być odnowieniem konwencji prozy dyskursywnej.

Charakterystykę tego typu „wielkiego paradoksu” (pojęcie analogiczne do „wielkiej metafory” Irzykowskiego) można oprzeć na jednym z najciekawszych opowiadań tomu: na „Profesorze Tutce wśród melomanów”. Przekorna pasja widzenia rzeczy od ich już nie lewej, lecz jakiejś chyba trzeciej czy piątej strony, ustawienie się wobec świata w miejscach dostępnych tylko pomysłowemu ustawicznemu myślowej kamery filmowej — wszystko to świadczy o jego triumfie.

Przedmioty zwykle pełnią swe funkcje fabularne według ustalonych konwencji literackich. Można by powiedzieć, że pisząc o otaczającym człowieka świecie rzeczy, pisarze posługują się „słownikiem definicji”²⁾ i przestrzegają pewnych reguł korzystania z niego z żelazną konsekwencją. Podstawową regułą jest zasada, według której „genus proximum” i „differentia specifica” są tymi czynnikami, które mogą odgrywać rolę motywacyjną, dynamiczną — tak zwane zaś „cechy przypadkowe” (przyjmijmy, że ów fikcyjny słownik definicji oparty jest na zasadach arystotelesowskich) mogą służyć tylko celom statycznym, opisowym, zdobniczym itd. Co więcej — definicje te są na ogół wyrazem postawy teleologicznej: cel przedmiotu, który określa, jest czynnikiem ważniejszym niż cokolwiek innego. Toteż gdy w rozmowie „o instrumentach”, o wzruszeniach wywołanych ich tonem, prof. Tutka prezentuje opowiadanie, w którym rola fortepianu zdefiniowana jest raczej je-

go masą niż jakimkolwiek innym czynnikiem — stajemy przed sytuacją paradoksalną: jesteśmy świadkami istnego buntu rzeczy, buntu bardziej radykalnego niż to się dzieje w fantastycznych nowelach, bo tam ożywia się przedmioty, tu rewolucjonizuje się ich konwencjonalną definicję, zmienia się ich wewnętrzna struktura oparta o kategorie celu i funkcji. Patrzy się na świat, w którym za chwilę być może nie będzie stać na swoim dawnym miejscu: okręt przestanie być przedmiotem służącym do komunikacji wodnej, a oparty w swym działaniu na prawie Archimidesa, drzwi przestaną cokolwiek otwierać lub zamykać... Gdy czytamy więc: „...nie skrzypce, nie wiolencela — ale fortepian, właśnie fortepian zrobił na mnie najpotężniejsze wrażenie w moim życiu — tego dnia, gdy szalała burza na morzu, a ten na wpół Grek, na wpół Rumun, pianista... wprost fenomenalny! zasiadł do fortepianu i — fortepian odjechał” — czujemy niepokój, jak zwykle, gdy łamie się konwencje i gdy nowe aspekty rzeczywistości uświadamiają się nam na chwilę.

Profesor Tutka broni się swym paradoksem przeciw banalności, płytkości, karykaturalności sądów swego otoczenia. Cóż to za, pożałuj Boże, melomani są jego rozmówcami! „Skrzypce — powiedział ktoś — mogą mnie doprowadzić do ekstazy”. Profesor Tutka jest więc przede wszystkim ironistą: jego paradoks jest zintelektualizowanym, zakamuflowanym protestem przeciw myślowemu ubóstwu otoczenia, nb. zupełnie określonego otoczenia mieszczańsko-inteligenckiego. Prof. Tutka to zwolennik rozwiązań podsuwanych przez zdrowy rozsądek; tak jest wtedy, gdy ironicznie stawia on „fenomenalnego pianistę” przed sytuacją komiczną mimo swej grozy. Komizm ten sprostowany był niewątpliwie przez samego owego „pół Rumuna, pół Greka”, wywołany został jego kabotyństwem. Prof. Tutka jest krytykiem swego środowiska, jego intelektualnej i obyczajowej pustki.

Profesor Tutka, intelektualista Kochający się w paradoksalnej metodzie odkrywania sensu rzeczy, ironista oddający swój dowcip na usługi systemu wartości potwierdzonych przez zdrowy rozum — jest jakimś nawiązaniem do tradycji osiemnastowiecznej prozy. Coś tu jest ze stylu opowiadki filozoficznej, coś z anegdotycznej i charakterologicznej moralistyki. Oczywiście — tak rozumiany Szaniawski — nie jest Szaniawskim całym. Trudno tu nie zacytować Karola Irzykowskiego, który najtrafniej zdefiniował kiedyś w „Lżejszym kalibrze” sztukę autora „Krysi” (bo tego utworu tyż cytowany artykuł): „Szaniawski śledzi rzeczy tajemne, lecz zbliża się ku nim tak, aby ich nie spłoszyć, nie uszkodzić; ostrożnie, delikatnie, zgadując gdzie trzeba, nie dopowiadając gdzie trzeba. Lubi wesołość, ale bez krzyku, lubi smutek, ale bez wstrząsów tragicznych, lubi filozofować, ale bez gubienia się w myśli. W „Adwokacie i różach”, a później w „Moście” doszedł do ideału swej formy: do lakoniczności kryształowej”. Krótko mówiąc — Szaniawski jest dużej miary lirikiem, i to lirikiem trudnych form prozy, bo sprawozdawczego stylu, przypominającego protokół zebrań. Problem wirtuozerii, z jaką Szaniawski budzi emocje w czytelniku, wymaga specjalnej, żmudnej analizy. Muszę wyznać, że nie jestem w stanie jej dokonać. Poprzestanę na naivnym i bezpośrednim świadectwie czytelnika: już dawno nie wruszałem się tak, jak czytając „Pożegnanie profesora Tutki”, „Dom”, „Dziewczę z miasta” i „Ogród na wydmiu”. Niech to wystarczy: za dowód musi służyć każdemu własna lektura.

Tom opowiadań „Profesor Tutka” nie jest zresztą jednolity: mamy tu obok rzeczy bardzo dawnych, przedwojennych — najnowsze; obok utworów świetnych — słabe (np. „Przygoda od młodzonych” i niektóre inne). Żałować można, że nie weszły do tomu wszystkie opowiadania z cyklu „Profesora Tutki”, drukowane kiedyś w „Przekroju”.

Na zakończenie muszę się usprawiedliwić i przed czytelnikami — i przed autorem, do którego rąk dojdzie być może ta recenzja. Może ktoś powiedzieć mianowicie, że to recenzja nie tomu — lecz... jego pierwszego opowiadania. Tak — i nie tak. Rzeczywiście: „Profesor Tutka” a hasło sztuka dla sztuki”, i „Profesor Tutka daje przykład opowiadania pogodnego”, i „Profesor Tutka nie jest dzieckiem”, i „Melonik profesora Tutki”, itd. itd. — zawierają inne, nie omówione tu problemy. Starałem się tylko określić najogólniej postawę życiową bohatera tych opowiadań. „Profesor Tutka” jest za bogaty — by jego treść mogła wyczerpać jedna i to niewielka recenzja.

JAN JÓZEF LIPSKI



Antoni Starczewski — Widok na zieleniec

WANDA KARCZEWSKA

1) Jerzy Szaniawski, „Profesor Tutka”. Opowiadania. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954.

KRONIKA Nr 2

Spojrzenie na Mazepę

NARESZCIE. Trudno nie poddać się smutnym refleksjom. Przez dziesięć lat na pytanie: Słowacki? — padała odpowiedź: „nieobecny”. Zdarzył się wprawdzie „Fantazy”, błysnął raz „Horsztyński”, była „Ballady na”, był nawet „Mindow” i niewiele więcej.

Lech Budrecki we wstępie do „programu” przypominał, jak to Stanisław Tarnowski zamiast wykładu o Słowackim ciskał z katedry uniwersyteckiej jego dziełami o ziemie. Hrabia-profesor, symbol arystokratycznego wstępnictwa, postąpił otwarcie. Słowacki był dla niego najgorszym wrogiem klasowym. Warto ten fakt przypomnieć, choćby dlatego, by teatr współczesny „zumielił się” wobec spuścizny wielkiego postępowego poety. Bawim „niłaki” stosunek, jakaś strusia postawa — to zjawisko gorsze niż pompacyjny gest przeciwnika.

Więc nareszcie! Łódzki Teatr Powszechny w Roku Mickiewiczowskim, pojmowanym w szerszym znaczeniu jako Rok Romantyzmu, wystawił „Mazepę” (*). Wystawić bez ryzyka: „Mazepa” jest wdzięczny, przynosi sławę i frekwencję.

„Mazepa” jest utworem trudnym do interpretacji ze względu na spór trzech ważnych kwestii: bardzo spójnie ze sobą związanych. Wątek tragiczny — dzieje miłości i śmierci Amelii i Zbigniewa — pozornie wysuwa się na czoło, ale to jest pretekst fabularny, który nie może zasłonić dwóch naczynych zagadnień, pasjonujących autora. Jedno: to rewizjonistyczne spojrzenie na przeszłość. Drugie: to perspektywa przyszłości.

Słowacki ostro rozprawiał się z Polską feudalną, jak nikt spośród romantyków. Ale ta „ostrość” uwarunkowana była inną krancowością. Poeta rozróżniał niejako dwie „Polski”: „czerep rubaszny”, „ohydne plachty”, „Dejaniry palaczkoskule”, a z drugiej strony „duszę anielską” w jej „marmurowych kształtach”. W „Mazepie” przeciwstawione zostały te krańce: zbrodnia dumy wojewody, obłuda i małostkowość króla oraz piękno i szlachetność „ginącego świata” — Amelii i Zbigniewa.

Pamiętać należy, że „Mazepa” powstał w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, w okresie ostrego starcia schyłkowego feudalizmu z ideologią demokratyczną. Poeta skazał w tragedii na zagładę świat feudalny w obydwo jego odcieniach. Natomiast dał niedwuznaczny wyraz swej wierze w przyszłość zwycięstwa demokracji, czyniąc jej rzecznikiem człowieka gminu — Mazepę.

Odczytanie na nowo sztuki, to przede wszystkim problem Mazepy. Od interpretacji tej roli zależy właściwie lub niewłaściwie odtworzenie intencji autora, co powinno być główną troską reżysera, kierownika literackiego i aktora. Mazepa jest naczelną postacią dramatu. Ale trudne i subtelne zadanie polega na tym, że pierwotnie tragiczne przypadają innym osobom, przede wszystkim — Wojewodzie. W realizacji scenicznnej chodzi o utrzymanie odpowiedniej proporcji w przeciwstawieniu obydwu postaci: Mazepa — Wojewoda. W tym układzie bardzo łatwo o naruszenie równowagi. I najczęstszy tak bywa, stało się to nawet „tradycją” sceny polskiej, że Wojewoda, pełny monolit charakteru, swym posagowym ciężarem przechylał „szalę” na swoją korzyść i wysuwał się — wbrew założeniom dramatu — na czołowe miejsce. Nie wynikało to z przypadku, ani z tej okoliczności, że w roli Wojewody często występowali wybitni aktorzy. Działali tu także tendencje społeczne i błędne odczytanie roli Mazepy. Mazepa traktowany był jako osobnik gorszego „autoramentu”, człowiek z gminu, koczujący synek, sowizdrzał, świszczypala.

Nie wystarczyło, że poeta wyposażył Mazepę w inicjały moralną, uzbudził w antagonizacyjną postawę wobec „starego” świata i — co więcej — uczynił go rzecznikiem własnej idei. Rola bogata i bardzo trudna. Niezwykle łatwo zwiknąć ją przez przeciągnięcie struny sów zdzalsko-rybaltowski, być może, że bardzo, w komedowy sposób, podkrelonej przez poetę w ekspozycji dramatu. Najczęściej też odtwarzano ją w tym sensie, redukując postać Mazepę do roli świszczypala, przygodnie zabawiającego się niewyraźną misją o tragicznych następstwach. W tym miejscu tkwi niebezpieczeństwo naruszenia proporcji.

Bogata rola Mazepy, w jej nagłym przejściu od zdawkowego komizmu do wysokiego stopnia heroizacji, wymaga aktora zdolnego siłą swej gry przeciwstawić się Wojewodzie, zagrozić nad nim i przewyższyć go ostatecznie i niewątpliwie.

Tu leży naczelną sprawą oceny. Czy teatr zdołał utrzymać wskazane proporcje? Czy uniknął niebezpieczeństwa przesunięcia „ciężaru” na stronę Wojewody?

Odpowiedź na to pytanie mogą dać trzy sceny. Akt drugi ma tu zasadnicze znaczenie. Rozgrywka między Mazepą a Zbigniewem decyduje o należytnym odczytaniu utworu. Od wydobycia z tek-

stu „wszystkiego”, w co uposażył Słowacki Mazepę, zależy w dużym stopniu los całego przedstawienia. Akt drugi jest fundamentem, główną podbudową roli Mazepę, ważną dla jego postawy w akcie trzecim i czwartym, przygotowaną pozytywny lub negatywny wynik jego ostatecznego starcia z Wojewodą w scenach końcowych.

Nie powiem, że reżyseria wydobyla wszystko z aktu drugiego. Nie można było odczuć w stopniu wyrazistym postawy antagonizacyjno-buntowniczej Mazepy:

„Przewróćmy ten cały stary świat na nice!”

Ta ważna, wiele tłumacząca deklaracja, wymagająca specjalnego podkreślenia, przebrzmiała bez poważniejszego echa, zginęła w gorącym wirze emfazy i patosu, nie dotarła do słuchacza.

Niezależnie od tego zastrzeżenia przynależą, że Mazepa z drugiego aktu spełnił zadanie i nie zawiodł oczekiwań, że dzięki tej scenie mógł wygrać moralną partię w akcie trzecim i odnieść trudne zwycięstwo nad Wojewodą w scenach końcowych.

Ale i akt pierwszy wymaga pewnej rewizji. Mazepa nie może tutaj być jedynie lekkoduchem. Taki oto dro-

bierz z Amelią: „Tak, jestem bez honoru” — to nieobojętne zadanie interpretacyjne. To przecież ironia. Nie dostrzeżono, nie oddano tej ironicznej barwy.

Poza sprawą właściwej interpretacji tekstu mamy do czynienia z prawdziwym pojedyńkiem aktorskim między Mazepą a Wojewodą. Od obsady tych ról zależy wynik gry i całego przedstawienia. Kazimierz Brodzikowski, jako Wojewoda, nie zaniebadał starą, by zagrozić nad przedstawieniem, zagłuszyć Mazepę, wysunąć się na czoło. Taki przeciwnik staje się wysokim miernikiem skali, do której musi podnieść się gra Mazepę, by sprostać wymaganiom sztuki, w przeciwnym wypadku przedstawienie traci sens. Marian Gamski i Mirosław Szonert mieli odpowiedziane zadanie. Pomijając niektóre szczegóły wymagające dalszej korekty, faktem jest, że i Gamski i Szonert nie sprawili zawodu, faktem jest, że ich gra, jako kluczowy problem dramatu, w niemalym stopniu przyczyniła się do powodzenia „Mazepę” w Teatrze Powszechnym.

Na osobną uwagę zasługuje rola Wojewodziny. Amelia to swoisty typ kobiety-kwiatu, kobiety-ptaka, krewniaczka Aliny i Lilii, ideał wzniosłości kobiecej skazanej przez fatum na zagładę. Jej rolę można przyrównać do pulsującego źródła, i takim „źródłem” powinna pozostać od początku do końca, poprzez całą tragedię, nawet w tych scenach, które upoważniałyby pozornie — biorąc pod uwagę literalny tekst utworu — do

wyjścia poza styl postaci, do silniejszych reakcji zewnętrznych. Wydaje mi się, że Amelię obowiązuje jednak ciągle styl delikatnego pulsowania siłą kontrastu wytworzonej najodpowiedniejszą nastrojowo. W każdym razie to „źródło” nie powinno „bulgotać”. Alicja Raciszówna w wielu momentach właściwie odtworzyła intencje poety. O jej niewątpliwym sukcesie w roli Amelii zadecydował subtelny umiar, a jeśli jeszcze zakradło się coś z „bulgotaniem”, to na pewno zniknęło w przyszłości.

„Mazepa” — to galeria trudnych ról. Nie tylko król Jan Kazimierz, Zbigniew i Chmara, nawet Kasztelanowa i Chrzastka stawiają aktorów wobec niełatwych zadań. Dziś te trudności wzrosły. Polski dramat romantyczny znalazł się na szarym końcu, albo go nie było w ogóle w planach repertuaru. Dla wielu młodych aktorów jest to „ziemia nieznaną”. A i starsi wyszli z wprawy. Poddawali się tej kontemplacji, dwa razy śledząc „Mazepę” w Teatrze Powszechnym. Wyśledziłem wiele dobrej woli. Swego czasu K. J. Gałczyński tak wyraził się o pracy literackiej: „Każdy pisze jak może, panie redaktorze”. Podobnie myślałem o wysiłkach aktorów.

Dobrze, że „Mazepa” wrócił na scenę. Ale wyrażam obawę: aby nie stał się zwykłym „odfajkowaniem”. Chcemy „więcej Słowackiego”. Gorąco namawiamy Teatr Powszechny do „ryzyka”. Chyba stać go na nie.

STANISŁAW CZERNIK

MARIAN PIECHAL

PIERWSZY DRAMAT SCHILLERA



Teatr im. St. Jaracza. „Zbójcy” Fryderyka Schillera. Reżyseria: C. Staszewski; scenografia: E. Sobolotowa. Andrzej Szalawski w roli Karola Moora.

SPOBUDIMY spojrzenie na „Zbójców” Fryderyka Schillera oczami widza, który po raz pierwszy znalazł się na przedstawieniu tego arcydzieła preromantyzmu niemieckiego, nie znając tekstu drukowanego sztuki i nie wiedząc nic o jej znaczeniu i pozycji w dziełach literatury europejskiej. Od razu z pierwszych słów ekspozycji orientuje się, że jest to swego rodzaju sprawa rodzinna, w której dwóch braci, sy i do brzy, rywalizuje o względy dochodzącego już kresu dni swoich ojców. Rzecz dzieje się w zamku hrabiowskim, a sprawa między braćmi pod pozorem zabiegów o względy szlachetnego z starszego ojca, toczy się o spadek majątkowy, o przywilej dziedzictwa. Jest to więc obraz ostatecznego rozkładu rodziny feudalnych wielmożów, w której wszyscy nawzajem się nienawidzą, a przynajmniej przestają się rozumieć. Bo głównym powodem wsi rodzinnej nie jest właściwie nienawiść, lecz

nieporozumienie między ojcem a synami, ściślej mówiąc między starym Moorem a starszym, jego synem Karolem. Nienawiść między braćmi, Karolem i Franciszkiem, to już wtórny produkt nieporozumienia, jednakże komplikuje ona zasadniczy konflikt i staje się w następstwie główną sprężyną akcji dramatycznej.

Nieporozumienie. Nienawiść. Nie są to kategorie historyczne. Takie rzeczy zdarzają się w każdym czasie i w każdej klasie. Widz czuje, że powody tego nieporozumienia i nienawiści są już niedzisiejsze, że konflikt rodzinny został mu podany na scenie w przebraniu historycznym, ale same te uczucia są głęboko ludzkie, wstrząsające — i to go właśnie wiąże z tym tak odległym, jeśli chodzi o czas powstania i charakter konfliktu, dramatem. Spoza obłony historycznej wyrażają bowiem co chwila sprawy, jakie znane widzowi z codziennego doświadczenia, odwieczne ludzkie, arcydzieła. Dzięki właśnie tym arcydziełom elementom, jak miłość, nienawiść, żal i dobro, jak historyczny stał się sztuki, staje się dla widza bardziej bliski. Śledzi on niedzisiejsze już perypetie bohaterów sztuki z coraz większym zainteresowaniem i zrozumieniem. Poprzez uczuciową więź z głównymi bohaterami sztuki uczy się odczuwać ich historyczny czas i rozumieć konflikt epoki. Słowem, wzruszając się „Zbójcami”, uczy się historii.

Sympatie i antypatie widza mają w sztuce mocne punkty zaczepienia. Całkowitą sympatię budzi przede wszystkim główny bohater sztuki Karol Moor, który właśnie dlatego, że nie jest rycerzem bez skazy, staje się tak bardzo ludzki i „żyłowy” dla dzisiejszego widza. Z tych samych powodów ciepłą sympatię widza budzą: stary Moor, Amalia, Daniel, a nawet Herman, nieszczerliwie zakochany w Amalii, obłąkana ofiara Franciszka, wreszcie niektórzy członkowie rozbojniczej bandy Karola, jak prawy Roller czy Schweizer. Zdecydowanie antypatię budzi Franciszek Moor, uosobienie zła, księdzę i niekiedy z bandy rozbojników, jak Spiegelberg, Schutlerle i kilku innych. Przy czym zaznaczyć należy, że postacie sympatyczne są bardziej „żyłowe”, pełne, bo choć dobro w nich dominuje, to jednak nie pozbawione są one mniejszych lub większych ułomności i wad, jak chociażby postać naczelną, sam Karol Moor, gdy tymczasem postacie ujemne, to charaktery z błędów, ulepione całkowicie jak gdyby z gliny, zdecydowanie zbrodniarze, jak np. Franciszek, Spiegelberg lub Schutlerle, albo beznadziejnie polityczny automat jak ksiądz. To też na scenie są one bardziej umowne, bardziej sztuczne, niż postacie sympatyczne. Sama banda zbójców budzi natomiast uczucia „mieszane”. I tak powinno być — składa się bowiem z rozmaitych indywidualności, mających reprezentować zbuntowany tłum ludzki, nie zespólny jeszcze wspólną ideologią, ale polujący jedynie niemożoną chęcią wspólnej walki przeciwko temu, co jest. Ten zbuntowany tłum, jak gdyby gwałtownie zarysował nową klasę społeczną, nie doskonałą, co należy burzyć, nie wie jednak zupełnie, co

i jak trzeba budować. To jest źródłem jego siły i zarazem jego słabości. O to właśnie słabość ideologiczną owej bandy potknie się w finale sztuki jej przywódca, Karol Moor, i to stanie się przyczyną jego klęski moralnej. Tłum „zbójców” dał Karolowi Moorowi siłę, Karol Moor, jako wódz, jako przewodnik duchowy tłumowi, winien sen Karol utracił, program działania. Tymczasem tłum, który siłą tłumy dla dochodzenia własnych krzyków i osobistej zemsty, a skoro ta została nasycona, staje na rozdrożu, wykładnik siły — tłum — staje się niepotrzebny, choć dla tłumy wtedy właśnie rodzi się paląca potrzeba wódza, potrzeba myśli przewodniej.

I nie w rozdziewku między Karolem Moorem a ojcem, bratem czy Amalią, ale właśnie w tym finalnym rozdziewku się Karol Moor z tłumem sen Karol utracił, program działania. Tymczasem zbiorowość ludzka, która punkt kulminacyjny tragedii Schillera i cała jej wstrząsająca wymowa. Rzecz dzieje się na kilka lat przed wybuchem Wielkiej Rewolucji Francuskiej, której wódzowie w imię określonych idei wiodli tłum do szturm na Bastylję. Sztuka Schillera pokazuje naczynię, jak bardzo Niemcy ówczesne były już dojrzałe społecznie, a jeszcze nie dojrzałe ideologicznie do rewolucji ustrojowej. Fryderyk Engels pisał o tym okresie ówczesnych Niemiec: „Zjednoczone z ludem burżuazja mogłaby obalić dotychczasowe władze i zbudować państwo na nowych podstawach, tak właśnie jak to częściowo dokonała burżuazja angielska w latach 1640-1688, i jak zamierzała właśnie tego dokonać burżuazja francuska. Ale niemiecka burżuazja nie miała takiej energii, nie pretendowała nigdy do takiej odwagi, wiedziała, że Niemcy nie są niczym innym, jak kupa gnoju”. Toteż w finale sztuki, kiedy Karol Moor z chwilą pogodzenia się z Amalią mógłby wrócić do zamku, jako jedyny jego prawy dziedzic, i rozpocząć tw. „normalne i porządne” życie, jak jego feudalni poprzednicy, ojciec i brat, tłum nie pozwala mu wrócić do tego „gnoju”, odrzuca go od Amalii, której miłość jest jedynym motywem tego powrotu, i obnaża tym samym całą pustkę ideologiczną swego wódza. Śmierć Amalii przynosi ostatecznie węży, łazące Karola z gnojowiskiem społecznym, z którego pochodzi, jak i ze zbuntowanym tłumem „zbójców”, któremu dalej przewodzić nie umie. Jego samofajkowanie, kończące tragedię, choć jest objawem osobistej prawości, potwierdza jednak jeszcze raz jego głęboką niewiarę w tłum i, co za tym idzie, niedołężność do zmiany czegośkolwiek w istniejących warunkach na lepsze.

Jest niewątpliwą zasługą zarówno opracowania dramatycznego Henryka Bolta-Staszewskiego, jak inscenizacji Czesława Staszewskiego, że finalnemu Karolowi Moorowi udało się wyłowić z gnojowiskiem społecznym, z którego pochodzi, jak i ze zbuntowanym tłumem „zbójców”, któremu dalej przewodzić nie umie. Jego samofajkowanie, kończące tragedię, choć jest objawem osobistej prawości, potwierdza jednak jeszcze raz jego głęboką niewiarę w tłum i, co za tym idzie, niedołężność do zmiany czegośkolwiek w istniejących warunkach na lepsze.

STANISŁAW BRUCEWICZ

FIGARO A DZIEŃ DZISIEJSZY

BAWIAC się szczerze na „Weselu Figara” nie mogłem się jednak opędzić szczególnej melancholii. Ten „szalony dzień”, pełen młodej tętny, musującej swady i bojowego optymizmu, uprzytomnił mi nagle, jak starczo smutny i gorzki jest dzień dzisiejszy francuskiego teatru. Kogo tu widzimy? Przede wszystkim cudzoziemców: Włochów Pirandella i Ugo Betti, Amerykanina Artura Millera, Anglików Grahama Greene’a i Christophera Fry, belgijskiego Ghelderode; cudzoziemców piszących po francusku: Irlandczyka Samuela Becketta, Rumuna Jonecsu, Rosjanina Adamowa; czasami, ale coraz rzadziej, odzywają się Anouilh i Sallacrou, możnaby wyzyskiwać resztki swoich talentów. Powojenne dziesięciolecie nie wydało ani jednego dramatopisarza tej nawet miary, co dwaj ostatni. Komedja Francuska celebrytuje Claudela. Jedyne jasne plamy w tym obrazie to — reinkarnacja dawno nie granego Mollierowskiego „Trzpiotła”, „Wiśniowy sad” u Barrault’a i „Trzy siostry” świetnie podobno wystawione przez Saszę Pitojewa, „Yerma” Garcia Lorke, wreszcie Bertolt Brecht, jedyny współczesny pisarz postępowy, jakich od czasu do czasu pojawia się na afiszach paryskich i którego „Matkę Courage” gra z niesłabnącym powodzeniem teatr Vilara, poza tym kulturyjący wyłącznie wielki repertuar klasyczny i romantyczny.

Znamienne, że komedia świeci tu nieobecnością. Nie mówię o teatrze bulwarowym, gdzie od pięćdziesięciu lat sroży się ta sama gruba farsa alkoholana i garnizonowa, dziesiąta woda po Feydeau i Hennequinie, dostarczana przez armię sprytnych sztukorów; jest to dziedzina ściśle komercyjna, leżąca poza obreębem właściwej kultury teatralnej, choć wchłaniająca zwolna pisarzy, którzy jeszcze kilkanaście lat temu należeli do awangardy i żyli pewne ambicje, jak Marcel Achard, Steve Passeur czy nawet Anouilh. Mówię o teatrze poważnym, tak zwanym „teatrze idei”.

Otóż jest to teatr tragiczny — nie dlatego że na jego scenach grane są „tragedie w pięciu aktach wierszem”, lecz dlatego że, wzięty jako całość, odczwierciedla w wielu postaciach tragedię rozkładu myśli burżuazyjnej. Co się w tym teatrze krzewi? Dezintegracja osobowości (renesans Pirandella), metafizyczna rozpacz, irrealizm, kult absurdu („théâtre l'oufoque”), w najlepszym wypadku — trawestacja historyczna, ukazująca problemy wspólczesności w kostiumach mitologicznych lub średniowiecznych (dwa „szlagiery” bieżącego sezonu — „Czarownice z Salem” Artura Millera i „Port-Royal” Montherlanta — dzieją się w wieku XVII). W ogólności, nad dzisiejszym teatrem francuskim unosi się duch Kafki i na zimno wyrozumowany surrealizm koszmara Henryka Michauxa.

Tragiczność teatru, jak i całej burżuazyjnej kultury francuskiej, jest wieloznaczna. Mendes — France, polityk

bulwarowym, gdzie od pięćdziesięciu lat sroży się ta sama gruba farsa alkoholana i garnizonowa, dziesiąta woda po Feydeau i Hennequinie, dostarczana przez armię sprytnych sztukorów; jest to dziedzina ściśle komercyjna, leżąca poza obreębem właściwej kultury teatralnej, choć wchłaniająca zwolna pisarzy, którzy jeszcze kilkanaście lat temu należeli do awangardy i żyli pewne ambicje, jak Marcel Achard, Steve Passeur czy nawet Anouilh. Mówię o teatrze poważnym, tak zwanym „teatrze idei”.

Otóż jest to teatr tragiczny — nie dlatego że na jego scenach grane są „tragedie w pięciu aktach wierszem”, lecz dlatego że, wzięty jako całość, odczwierciedla w wielu postaciach tragedię rozkładu myśli burżuazyjnej. Co się w tym teatrze krzewi? Dezintegracja osobowości (renesans Pirandella), metafizyczna rozpacz, irrealizm, kult absurdu („théâtre l'oufoque”), w najlepszym wypadku — trawestacja historyczna, ukazująca problemy wspólczesności w kostiumach mitologicznych lub średniowiecznych (dwa „szlagiery” bieżącego sezonu — „Czarownice z Salem” Artura Millera i „Port-Royal” Montherlanta — dzieją się w wieku XVII). W ogólności, nad dzisiejszym teatrem francuskim unosi się duch Kafki i na zimno wyrozumowany surrealizm koszmara Henryka Michauxa.

Tragiczność teatru, jak i całej burżuazyjnej kultury francuskiej, jest wieloznaczna. Mendes — France, polityk

i potomek dwóch pisarzy, lubi ostrzeżać swoją klasę: „żyjemy w roku 1788”, to znaczy w przededniu zburenia kapitalistycznej Bastylii. Burżuazja francuska jest więc w pełni świadoma zbliżającej się zagłady i dlatego tym uparciej usiłuje dowiesić — za pomocą filozofii i literatury, teatru i malarstwa — że jej zmierzchn jest zmierzchnem świata, że świat bez burżuazji nie może istnieć. To byłoby najmniej ważne, tak bowiem sądzi każdą odchodzącą klasę. O wiele bardziej istotny jest inny aspekt sprawy.

Sto pięćdziesiąt lat temu, ściśle mówiąc w roku 1804, Napoleon, zapytany o zdanie co do modnej w ówczesnym teatrze paryskim pseudoklasycznej tragedii typu Wolterowskiego, odrzekł ze wzruszeniem ramion: „Dzisiaj — właściwą tragedią jest polityka”. Formuła dalekoosłona — dopiero teraz bowiem odśladła całą swą proroczą celność. Polityka jest wielką dominantą naszych czasów i dlatego epoka nasza, epoka niebywałego sprężenia historii i ogromnych konfliktów politycznych, jest epoką tragiczną. Kryzys kultury francuskiej jest w istocie zjawiskiem politycznym i tragizm jego odbija nieodwracalną rzeczywistość dziejową.

Sartre nazwał kiedyś burżuazję chorem człowieka Europy; choroba ta wypluwa nie tylko ze sprzeczności kapitalizmu, z nadzłych przyczyn ekonomicznych i społecznych; jest to choroba sumienia, świadomość złej wiary: burżuazja wie, że daremna i nieuczciwa jest jej walka o przetrwanie w świecie, który chce odrzucić i unicestwić, w świecie, który niegdyś, gdy była jeszcze klasą postępową, zdobyła dzięki wierze w jego realność i trwałość. Stąd w dalszej konsekwencji

w 1782 roku narzuciło realizatorom konieczność poczynienia daleko idących zmian, redukcji i skrócenia, na które się autor zgodził. Insensacja łódzka posłała więc częściowo drogą sugestii tego pierwszego przedstawienia „Zbójców”, usuwając postać Mosera, a z grupy zbójców — Kosińskiego, wykresając całą scenę 3 aktu i między Franciszkiem i Amalią i skracając poważnie część nuciaków opowiadań Karola Moora, Schweitza, Rollera i Sulterliera, zostawiając natomiast bez żadnych zmian finał sztuki, co przysądza przecież o jej zasadniczej wartości i wymowie społecznej. Te redukcje, skróty i skrócenia są usprawiedliwione, bo dzięki temu rzecz zyskuje na zwartości, konsekwencji i przejrzystości. Można by się natomiast sprzeciwić o motywy okrojenia rozważań filozoficznych Franciszka Moora i wypowiedzi Spiegelberga.

W przeciwieństwie do postaci pozytywnych, które działają zawsze w odczuciu, w zbiorowości, znajdując w niej oddźwięk i potwierdzenie swych czynów i słów, i dając działając w odczuciu, ich słowa i czyny nie znajdują potwierdzenia na zewnątrz, ich zło pochodzi ze źródeł tkwiących w nich samych, stąd większa potrzeba motywacji werbalnej każdego ich czynu i zamiaru. Dlatego byłaby psychologicznie uzasadniona ich wielomówność, szersze tło „wewnętrzne” powodów ich takiego właśnie a nie innego działania. Pewne zastrzeżenia budzi także język przekładu. Przetłumaczył go Michał Budzyński, który w tym przekładzie był jeszcze gorzej. Poprawki wprowadzone przez Irenę Boltuc-Staszewską nie przybliżyły przekładu Budzyńskiego do pięknego języka romantyków polskich, w którym to języku utwory Schillera powinny być w Polsce tłumaczone, natomiast zepsuły pewien bądź co bądź genialny charakter stylowy języka Budzyńskiego. Wyśledziłem z tego miejsca kilka pseudo-romantycznych-młodopolskich przekładów.

Andrzej Szalawski w roli Karola Moora to oczywiście wybitna kreacja aktorska. Ale znów z winy reżysera źle ustawiona w stosunku do Spiegelberga, który jest przecież dla Karola w obłazie zbójców tym, czym Franciszek w rodzinie — uosobieniem egoizmu i żądzy panowania; pokusą i zarazem ostrzeżeniem. Stąd zapaść w konsepcji postaci Karola: widzimy go od razu jako wódza, zamiast obserwować, jak stopniowo do tej roli wyrasta spośród równych sobie beztroskich młodzieńców, w przeciwstawieniu do Spiegelberga, z którym zmagając się cały czas i który jest jak gdyby jego krzywym zwierciadłem, obrazem możliwości w odwrotnym kierunku — w kierunku bezwzględności zła. Dlatego Olgi Bieleckiej nie udało się w pełni wyrazić jak należy swą okrojonej roli, a przecież powinien co najmniej tak wrócić się w pamięć widza, jak postać Franciszka znakomicie ujęta i zrehabilitowana przez Emila Karewicza. Franciszek, jak już mówiłem, działa w odczuciu, a nie w związku z innymi osobami, stąd Karewicz mógł wygrać „wewnętrznie” tę postać, pomimo skąpości tekstu, jako jego reżyser ujęli. Natomiast zapaść złożeństwo w przypadku Spiegelberga spowodowało, że stał się on jednym z wielu w orszaku zbójców, zamiast być kimś wyjątkowym, podobnym do Franciszka. Stąd i reakcja Karola na zachowanie Spiegelberga byłaby inna i jego ewolucja od beztroskiego młodzieńca do wódza miałaby bardziej dialektyczny przebieg.

Najcięższe zadanie mieli już Stanisław Łepiński w kapitale w roli Księdza, Roman Stankiewicz w roli starego sługi hrabiego Moora i Włodzimierz Skoczylas w roli Hermana. Pełna napięcia dramatycznej sceny w lesie między Księdzem a Karolem, to jeden z najdoskonalszych momentów w sztuce, nasycony bogatą wymową społeczną. Scena Pankracego z hrabią Henrykiem z „Nieboskiej komedii” Zygmunta Krasińskiego stała się wierszem swych rodaków, a moment, kiedy Karol tłumaczy Księdzu pochodzenie pierścienia na swych palcach żywym przypomina moment z wylizaniem obrazów przez Pankracego na zamku hrabiego Henryka. Już to świadczą, jak wielki wpływ wywarł utwór Schillera na późniejszą twórczość naszych romantyków. W kontrowersji Księdza z Karolem następuje symboliczne starcie zgnitego, rozpadającego się świata, ze światem nowym, świadomym już swojej siły, ale nieświadomym swojej idei i swojego kierunku. Stanisław Łepiński zagrał tę epizodyczną, ale ważną rolę z pełnym poczuciem jej funkcji społecznej.

Najtrudniejsze role przypadły w udziale Feliksowi Zukowskiemu i Olgi Bieleckiej. Stary Moor, ciagle jęczący i umierający, Amalia od początku do końca tak samo wzdychająca i rozpaczająca. Trzeba jednak przyznać, że z niewdzięcznej roli oja wyśledził Feliks Zukowski na ogół zwycięsko. Władczyna sylweta Olgi Bieleckiej nie uratowała jednak roli Amalii od nuciącej jednostajności. Z winy autora, który w okresie pisania „Zbójców” nie znalazł jeszcze podobno kobiet, Amalia, zdana jedynie do gry na harfie i do miłości, wydaje się być niepotrzebna w dramacie, chyba tylko dla poświadczania, że w świecie Franciszka Moora nawet miłość, to tylko przedmiot kupna, podstępnej rabunka lub gwałtu, zaś w świecie zbójców Karola przedmiot kłopotliwego zbytku. Starym światem Amalia gardzi, a nową ją odpycha, jako przedmiot feudalnego zbytku. Nic też dziwnego, że autor ręką Karola musiał ją w finale dramatu usmiercić.

Zagadką dla mnie jest zastosowanie jako tła muzycznego dla tej sztuki o umierającym feudalizmie fragmentów bohaterskiej V Symfonii Beethovena. Ta śmierć starzej epoki nie symbolizuje nic z bohaterstwa, a i zbuntowany „Zbójcy” też na razie nie występowali na arenę historyczną w rytmie bohaterskiego marsza. MARIAN PIECHAL



Teatr Nowy. „Wesele Figara” Beaumarchais. Reżyseria: J. Merunowicz; scenografia: I. Zaborowska.

Dobrosław Mater (Figaro), Irena Massalska (Hrabina).

owe patetyczne wykryki o uczuciowych ideologach mieszczaństwa: my, którzyśmy dali światu rewolucję przykladną, my, naród Robespierrea i Saint-Justa, niegdyś — przodownicy postępu i czołowa ludzkości — my dzisiaj wlecemy się w jej ognie i hamujemy jej marsz, my należymy do obozu reakcji, antykomunizmu, kolonializmu itd. Kryzys ideologiczny bez precedensu — najbardziej może widoczny w świetle sceny 1), toteż nie ma w teatrze francuskim i być nie może

1) Niektóre ze wspomnianych trawestacji historycznych, m. in. wymienione sztuki Millera i Montherlanta, mają ostre wymierzone w siły między-narodowej reakcji.

*) Teatr Powszechny. „Mazepa” Juliusza Słowackiego. Reżyseria: Jadwiga Chojnacka; scenografia: Jerzy Szeski.

Stare recepty i nowi ludzie

PISZE ten felieton w niemałej rozterce — nie wiem czy istotnie mam stusznosc. Leza przede mną listy pierwszych korespondentów naszego młodego pisma. Kim są autorzy tych wypowiedzi?

Listy nadeszły od absolwentów liceum kulturalno-oświatowego w Rożnicy, z kieleckiego. Są to przyszli kierownicy świetlic, pracownicy domów kultury itp. instytucji. Nasi korespondenci — młodzi chłopcy i dziewczęta — opisują swoje wrażenia z pierwszych prac w terenie, a właściwie z praktyki przewidzianej w ramach nauczania. Miel do spełnienia różne zadania — założyci koła przyjaciół książki, zorganizować chór, zespół tańca itp.

Otoż czytając te listy nie potrafiłem się oprzeć skłóconemu uczuciu ciepła — i niepokoju jednocześnie. Ale może najpierw o tym, co przyjemne.

Kol. Zdzisław Wadowski tak np. opisuje pierwszą rozmowę z ludźmi: „Wszystko zaczęło się od tego, gdy to w piękne popołudnie lipcowe po sklepieniu niebieskim zatonął kolisty łuk srebrny odrzutowiec i zniknął za linią horyzontu...”. Ten odrzutowiec postawił kol. Wadowskiemu jako pretekst do nawiązania z chłopami interesującej rozmowy na tematy techniczne. Gadano do późnej nocy. W końcu, gdy się rozchodzono, chłopci doszli do przekonania, że „ze zmianą stosunków społecznie — ekonomicznych musi powstać i nowa, lepsza technika”. A co za tym idzie — powiedział jeden z dyskutujących, ob. Jan Kot, „muszą być i nowi ludzie z większym rozumem”. Ta pierwsza rozmowa połączona z sobą następną i w końcu doszło do założenia stalego koła czytelników książki.

Oto jedno doświadczenie, które nam przekazuje korespondent. Przypomina mi się tutaj jedno z moich spotkań z czytelnikami. Byłem ostatniego lata w Złotowie z zadaniem wygłoszenia szeregu odczytów dla aktywów świetlicowych. W dyskusji padło z s. li niespodziewane pytanie: „Jak się rodzi powieść? Skąd się biorą pomysły do powieści?” Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Przypomniałem to i owo z praktyki i wywnurzeń pisarzy. Wreszcie dodałem, że pomysły powieści mogą także narodzić się z prostego przypadku. Zastyszane zdanie, wypadek, zdarzenie może pobudzić pisarza do pisania. Ot — mówiłem — jadąc do tego pięknego miasteczka zawarliśmy w pociągu przypadkową znajomość z pewnym młodym człowiekiem. Ow młodzienczek usłyszaawszy, że jedziemy do Złotowa, odparł z grymasem prowincjonalnego eleganta: „Złotów! Ech, to taka dziura!” A my właśnie jako tako rozejrzawszy się po mieście, a przede wszystkim po ludziach, stwierdziliśmy, że tak nie jest, że Złotów bynajmniej nie jest dziurą, że dzieją się tam sprawy, które są równie bliskie Warszawie, jak Złotowowi, że ów elegant postępuje się w swoich ocenach całkiem innymi schematami.

tami moralnymi, że to człowiek mimo młodego wieku stary, nie dzisiejszy, że nie rozumie zmian zachodzących w życiu. Ot — mówiłem — pomysł do powieści: życie nowego Złotowa.

Listy naszych korespondentów wzruszają nie tylko dlatego, że są pierwszymi listami „z terenu”, ale że świadczą o nowym życiu dalekiej wsi czy miasteczka, do wódz, że na wsi rosną nowi ludzie, że przybywają coraz to nowi pracownicy kultury; że pojęcie wsi „zagubionej”, „deskami zabitej od świata” zanika dzisiaj ostatecznie. Proszę wybaczyć truizmy. Są chwile, kiedy i rzeczy oczywiste muszą być powiedziane.

Ale jest i druga strona medalu i ta mnie zaniepokoiła. W istocie złudzeniem byłoby przypuszczać, że wszystko układa się najpomyślniej, że nie ma trudności, braków, błędów itp. Myślę sobie właśnie o tym, że bardzo często listy korespondentów nie oddają wiernie atmosfery tego wszystkiego, co się dzieje w ich środowisku, na wsi lub w mieście. Nie pokazują nawet wysiłków ludzi — chociaż domyślamy się, że wysiłek ten jest często bardzo duży i ofiarny; w takich lakonicznych meldunkach, że zebranie jakies tam się nie powiodło, albo impreza spaliła na panewce, kryje się jednak ciężka praca, żmudna i uciążliwa, czyjeś myśli, pragnienia, plany. Smuci i to, że relacje z matymi wyjątkami są na ogół podobne do siebie, schematyczne w opisie, rzadko kiedy odkrywcze. Myślę sobie też z niepokojem, że sposób patrzenia niektórych korespondentów na procesy kultury przypomina mi ton owego eleganta z pociągu. Przeczyszam z góry za wszelkie nieporozumienia wynikłe z tego porównania! Nawet wspomniany tutaj kol. Wadowski, który zresztą w sposób wzruszający opowiada o swoich doświadczeniach i dochodzi w końcu do słusznych wniosków — silnego powiązania pracownika kultury z gromadą, gdzie ma pracować — potraktował swoją pracę jako „wyprawę” w teren.

Nie potrafiłem się oprzeć wrażeniu, jakby prawie wszystkim tym wypowiedziom patronował stary duch kielecczyński, dr Judy. Tradycja pracy społecznej typu judymowskiego pokutuje jeszcze tu i tam, a zwłaszcza tutaj, na ziemi kieleckiej, ma specjalną siłę oddziaływania. Tak sobie myślę, że mimo woli w naszej pracy popełniamy dwa uchybienia — po pierwsze, że pracujemy, uczymy się niejako samopas, tak jakby w tych Sienkach, Orzelcach, Chlewiach nie podejmowano przedtem żadnych prób, nie było tam organizacji społecznych czy politycznych, które przecież — lepiej czy gorzej — tego rodzaju pracę kulturalno-oświatową prowadzi; a po wtóre wciąż jeszcze patrzymy na sprawę upousszczenia kultury nie po staremu, myślimy tylko o pierwszych krokach — zdobywaniu człowieka dla kultury, gdy przede wszystkim winniśmy pracować nad zorganizowaniem jej odbioru.

Stare recepty mogą być czasami pomocne, owszem. Znam ludzi, których uleczyła baba zna-

Dorobek humanistyki łódzkiej

PODOBNO jak inne dziedziny życia kulturalnego, humanistyka łódzka ulegała w ostatnim dziesięcioleciu różnym przemianom. Wyraźny kryzys przeżyła ona w okresie reorganizacji Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1949–1952, kiedy zmniejszała się gwałtownie liczba humanistycznych kierunków studiów i katedr, a znaczna część pracowników naukowych przeniosła się do Warszawy.

Za wczesnie jest jeszcze, aby mówić o nowym okresie nauk humanistycznych w Łodzi, podobnym do tego, który przeżywały one bezpośrednio po wojnie. Tym niemniej istnieją wyraźne oznaki, że okres impasu w tej dziedzinie powoli mija. Świadectwem zmian są m. in. publikacje, które ukazywały się w ciągu ostatnich lat. Mam na myśli w tej chwili wydawnictwa z zakresu historii myśli społecznej i Społecznych, ukazujące się pod redakcją prof. Józefa Chłasińskiego, prof. dr Natalii Gąsiorowskiej i prof. dr Mariana H. Sereskiego oraz serię prac z historii myśli społecznej pod redakcją prof. dr Józefa Chłasińskiego.

„Przegląd Nauk Historycznych i Społecznych” ukazuje się już piąty rok, pierwszy tom wyszedł w 1951 r. Ostatnie roczniki posiadają charakter zbiorów artykułów i rozpraw. Wydanie tomu IV zbliża się z dziesiątą rocznicą Uniwersytetu Łódzkiego.

Tom liczy przeszło 700 stron, zawiera artykuły i rozprawy 17 autorów. Wszystkie zamieszczone w nim prace wyszły z naukowego ośrodka łódzkiego, prawie wszystkie autorzy są pracownikami lub absolwentami łódzkiego uniwersytetu. Szereg artykułów stanowi pierwsze publikacje absolwentów wydz. filozoficzno-historycznego UL, które swoje prace magisterskie pisali w Zakładzie Historii Myśli Społecznej. Tam przedstawia więc dorobek i możliwości najmłodszego pokolenia historyków myśli społecznej. Wiele artykułów porusza zagadnienia z zakresu historii czasopiśmiennictwa, która stanowi przedmiot zainteresowania Zakładu Historii Czasopiśmiennictwa Polskiej Akademii Nauk, mieszczącego się w Łodzi i ściśle współpracującego z Zakładem Historii Myśli Społecznej. Obok tych zakładów reprezentowaną jest również łódzka polonistyka i inne katedry humanistyczne.

Z wspomnianymi zakładami, nawiązującymi w swej działalności do swego rozwoju w latach powojennych ośrodka socjologicznego, wiąże się również inne wydawnictwo — seria prac z historii myśli społecznej. W serię tej ukazywały się dotychczas 4 tomy. Są to: prof. Józefa Chłasińskiego „Z zagadnień kultury kapitalizmu” (studia i szkice — 1953), prof. dr Józefa Chłasińskiego, mgr Krystyny Chłasińskiej, mgr Włodawa Piotrowskiego i dr. Antoniego Kłoskowskiego „Problem humanizmu” (1954), prof. Włodawa Szuberta „Studia o Fryderyku Schlegelu jako ekonomisty” (1954) oraz dr. Antoniego Kłoskowskiego „Machiaveli jako humanista na tle włoskiego Odrodzenia” (1954).

Nie wdając się w bliższą charakterystykę wszystkich wymienionych publikacji warto wskazać ich zasadniczy kierunek. Zarówno artykuły zamieszczone w kolejnych tomach „Przeglądu”, jak i prace wydawa-

ne w osobnej serii należą do różnych dziedzin humanistyki — do historii myśli społecznej i czasopiśmiennictwa, historii społeczno-gospodarczej, historii literatury, historii nauki. Chodzi więc zarówno o historię warunków materialnych życia społeczeństwa i stosunków klasowych, jak i o dzieje różnych dziedzin kultury. Nieopisane miejsce w publikacjach zajmują prace poświęcone Łodzi i okrogowi łódzkiemu. Dotyczy to zwłaszcza artykułów z zakresu historii społeczno-gospodarczej, zawartych w poprzednich tomach „Przeglądu” oraz w tomie V, którego druk jest na ukończeniu. Zawiera on będzie głównie artykuły historyków związanych z Zakładem Historii Społeczno-Gospodarczej UL. Dominuje w publikacjach tematyka polska, zwłaszcza zagadnienia historii XIX wieku. Nie brak jednak prac poświęconych historii kultury innych krajów, głównie ZSRR i krajów zachodnich. Fakt ten zasługuje na specjalną uwagę, ponieważ

sluchawale rozmowy między czytelnikami, gwarzyłem z bibliotekarkami i w rezultacie zdobyłem kilka informacji, które potwierdziły znane mi już odczucia czytelnicy, i parę nowych faktów, których nie rozumiałem.

Stwierdziłem raz jeszcze, że w środowisku robotniczym największą popularnością cieszą się książki klasyków naszej literatury (Kraszewski, Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz, Żeromski), że czytelnicy - inteligenci chcieliby przeczytać „coś z angielskiego”, że młodzież szuka literatury przygodowo-egzotycznej. Stwierdziłem, że czytelnicy mają pretensje do tych autorów współczesnych, którzy piszą językiem „jaki się słyszy w tramwaju”, że chcą, aby „książka była dobrze napisana”. Po raz któryś z kolei zaobserwowałem żywe dyskusje czytelników między robotnikami przychodzącymi po książki i chłodną rezerwę w zachowaniu „bardziej wyrobionych” czytelników.

Notatnik kulturalny

oderwanie się od światowej problematyki stanowi ujemną cechę wielu innych polskich wydawnictw z zakresu humanistyki, zwłaszcza wydawnictw periodycznych. Ważną cechą omawianych publikacji jest poza tym szeroki udział pracowników naukowych z młodszego pokolenia, wychowanek Uniwersytetu Łódzkiego, którzy swoje studia zaliczyli już w Polsce Ludowej. Stanowi to oznakę żywności ośrodka.

Publikacje, o których mowa, nie są bynajmniej jedynym świadectwem aktywności wydawniczej łódzkiej humanistyki. Wyświetla niedawno nowy tom „Prac Polonistycznych”. W druku znajduje się: nowa publikacja — „Zeszyty Humanistyczno-Społeczne Uniwersytetu Łódzkiego”. Kontnuuje swoją pracę wydawniczą w dziedzinie humanistyki Łódzkie Towarzystwo Naukowe, współuczestniczy również w wydawaniu „Przeglądu” i serii prac z historii myśli społecznej.

Rosnąca aktywność łódzkiego ośrodka humanistycznego natrafia jednak na duże przeszkody. Uniwersytet posiada niewielkie możliwości organizacyjne w zakresie szkolenia nowych kadr w różnych dziedzinach humanistyki i nauk społecznych. Łódź nie posiada drukarni prac naukowych. Wielkość naukowych wydawnictw łódzkiego drukuje się poza Łodzi. Opcyjnie to druk wszelkich prac naukowych i uniemożliwia w praktyce wydawanie periodyków o większej częstotliwości wychodzenia, kwartalników czy choćby półroczników. Wszystkie te i inne trudności mogą być przezwyciężone. Muszą być usunięte, jeśli Łódź ma się stać naprawdę żywym ośrodkiem nauk humanistycznych. Ma zaś po temu możliwości, na co wskazują choćby omawiane wydawnictwa.

K. L.

Błyskawiczny raid

Odbylem błyskawiczny raid po kilku łódzkich wyprzedażach książek, pragnąc dowiedzieć się, co tam słychać. Byłem w paru Miejskich Bibliotekach Rejonowych, i w kilku bibliotekach przykładowych, pod-

cielka, wtedy tańczyli wszyscy. Takich ludzi właśnie trzeba pozyskać sobie w pracy KO...”

Co to jest ten autorytet? Czyżby tylko tego rodzaju, o jaki chodzi naszemu korespondentowi? Powiadamy: nauczycielka. Ale dlaczego nie nasz korespondent? Nauczycielka jest autorytetem m. in. dlatego, że związana jest silnie z gromadą. Autorytet wymaga zdecydowanego wrośnięcia w gromadę. Jeśli nasz korespondent dłużej popracuje w świetlicy, jeśli nie będzie stał ponad, ani na uboczu, to i zagadnienie autorytetu nabierze dla niego nowej treści. Tymczasem w trudniejszych chwilach musi przyużytywać do pomocy inne autorytety. Na usi obok szkoły wyrastają nowe instytucje kulturalne, które zaczynają wywierać coraz większy wpływ na życie gromady. To są te placówki, w których młodzi działacze z całym zasobem sił powinni pracować.

KRONIKARZ



Teatr Ziemi Łódzkiej. „Konkury” Mariana Piechala. Reżyseria: K. Laszewski. Janina Lukowska (Chudziakowa), Edward Łowicki (Bukszan).

Tomasz Gleba, obejmująca ogółem 22 pozycje. Tomasz Gleb jest łodzianinem. Oto, co pisze o sobie w prospekcie wydawnym z okazji tej wystawy:

„Urodziłem się w Łodzi na Bałutach. Moje babie chłopcy z Tuszy na nazywali Moszkowa. W dniach targowych zatrzymywaliśmy furmanki, ściągali z nich kurę, wadziła im palec w kupkę, aby zobaczyć, czy są tam jajka. Kiedy byłem mały, piliem wino z puszej butelki i upijałem się, a kolega mój był zawsze trzeźwy. On został krawcem. Ja lubiłem rysować”.

Wiadomości muzyczne

W kwietniu br. odbył się w Łodzi szereg atrakcyjnych imprez muzycznych z udziałem zagranicznych artystów. Łódzcy melomani mieli możliwość usłyszenia świetnej orkiestry kameralnej prof. W. Strassa z Monachium, która w ciągu dwóch wieczorów wykonała utwory Jana Sebastiana Bacha i jego synów; wystąpił poza tym znakomity artysta radiowy: śpiewak Gieorgij Gasparian oraz skrzypek Igor Berzdny, który razem ze znakomitą pianistką kameralną Sofią Waksman wykonał m. in. mało znaną w Polsce Sonatę nr 1 F-moll na skrzypce i fortepian Sergiusza Prokofiewa.

* * *

Dn. 21 kwietnia rozpoczął się I międzyuczelniany konkurs muzyczny na najlepsze wykonanie utworów kompozytorów polskich, ogłoszony przez Zarząd Studenckiego Koła Muzycznego przy PWSM w Łodzi dla uczczenia 10-lecia Polski Ludowej i II Festiwalu Muzyki Polskiej. Z programu konkursu, w którym bierze udział około czterdziestu studentów PWSM oraz uczniów PWSM i PLM z klas fortepianu, wyłonione są utwory Chopina.

Wśród zgłoszonych przez kandydatów utworów znajdują się kompozycje łódzkich kompozytorów, m. in.: Jurdzkiego, Mroczkowskiego, Paciorekiewicza, a także innych, znanych łódzkich pedagogów muzycznych — Dobkiewicza, Jeśmiana, Raczkowskiego i innych.

Po raz pierwszy publicznie wykonane zostały również utwory młodocianego syna b. rektora łódzkiej PWSM, prof. Kazimierza Sikorskiego, Tomka Sikorskiego, który, jak się okazało, zdradza nieprzeciętne zdolności w dziedzinie kompozycji...

* * *

W ubiegłym roku zmarł w Dubrowniku znany polski kompozytor Ludomir Rogowski, ur. 1881 r. Osiedły w Jugosławii od szeregu lat. Jego twórczość artystyczną najlepiej charakteryzują poematy symfoniczne i balety, w których przeważa tematyka egzotyczna. Zmarły artysta cieszył się wielkim szacunkiem zarówno w jugosłowiańskim świecie muzycznym, jak i w miejscowej ludności. Twórczość jego jest w Polsce właściwie zupełnie nieznana. Maże by tak Dyryktor łódzkiej Filharmonii zainteresowała się jego utworami i wykonała, która z jego kompozycji, urozmaicając tym samym swoje programy koncertowe.

* * *

Orkiestra narodowej filharmonii państwa Izrael, założona jeszcze w r. 1936 przez słynnego polskiego skrzypka Bronisława Hubermana pod nazwą „Orchestra de Palestine”, odbywa obecnie pierwszą dwumiesięczną tournée koncertową po Francji. Dyrygował nią Polak, łodzianin, Paweł Klecki.

broduszą głupawość osobnika. A przecież ta głupota staje się groźna właśnie w powikłaniu z uroszczeniami szlacheckiej czoł — i to czyni hrabiego przeciwnikiem jeszcze niebezpiecznym.

Hanna Bedryńska jest Zuzanną bardzo dobrą, dlatego że konsekwentnie utrzymuje w typie zwanym przez Francuzów „femme de tête”, to znaczy kobiety z głową na karku. Ciężkość molierowskiej subretki zamienia się już tutaj w rozsadek przyszłej mieszczańskiej matrony, zachowując jeszcze urok młodej dziewczyny z ludu. Hrabina w ujęciu Ireny Massalskiej jest pozbawiona, chwilami wzruszająca, ale pozbawiona tego, co wydaje mi się w tej roli konieczne: odblasku Rozyny z „Cyrułika Sewilskiego”.

Co do Marceliny, to mam wrażenie, że na postaci tej odbił się drobny błąd znakomitego tłumacza sztuki. Według Beaumarchaisa Marcelina to „femme de charge” czyli rodzaj ochmistrzyni, a więc osoba w domu hrabiego znaczna i wpływowa; Boy tłumaczy: „z fracymeru hrabiny” — co poważnie Marcelinę degraduje. I dlatego może przyjemnej skądinąd Barbarze Rachwałskiej, grającej tę rolę, zbrywa na pewnością siebie, na owej wyniosłej kasty, która powinna cechować jej szermierkę słowną.

Z wyjątkiem Seweryna Butryma, który postać Bazylia utopił w niezrozumiałym krzyku i marionetkowej sianianiu ruchów, cała reszta zespołu, nie wyłączając scenografa (Irena Zaborowska), zasługuje na wyrazy uznania.

STANISŁAW BRUCZ

KRONIKA II: 2

miejsca na komedie — mam na myśli wysoką komedie typu „Mizantropa”, „Wesela Figara” czy „Rozumowi biada”. Epoka wymaga tragedii.

I dlatego niedorzeczne jest pytanie, jakie narzucało mi się w Teatrze Nowym: gdzie jest proletariacki Figaro? Nie ma go i być nie może. Jeśli bowiem historia się powtarza, to w swych przebiegach dialektycznych, a nie w układach faktycznych. Sytuacja dzisiejsza jest zgoła inna, niż w przededniu rewolucji burżuazyjnej. Porządek feudalny i dwór ostatnich Ludwików były tak oczywiste i tak śmiesznym nonsensem, że śmiech mógł wystarczyć za narzędzie w walce ideologicznej: śmiali się Lesage i Beaumarchais, śmiali się mieszczańscy pisarze Oświecenia, którzy najchętniej posługiwali się ironią, sarkazmem, kpinką i paszkilem. Wówczas śmiech jeszcze zabijał. Dzisiaj, choć świetnie służy w utarczce podjazdowych, śmiech nie jest już bronią śmiertelnością. Daleki potomek Figara i Zuzanny jest obecnie wielkoburżuazyjny Almagiwa — jest przemysłowcem, bankierem, może nawet ministrem i oficjalny jego dziennik nazywa się właśnie „Figaro”. Na pewno mniej uwikłany w przesady honoru, niż jego feudalny poprzednik, jest też dzisiejszy Almagiwa o wiele mniej głupi, bo nauczony doświadczeniem czterech rewolucji; o wiele jaś-

niej widzi i ocenia własną sytuację i dlatego tym zacieklej gotów jest bronić swego stanu posiadania; ekonomicznie silniejszy i, jakkolwiek całkowicie zależny od Ameryki, dość jeszcze aktywny, jest przeciwnikiem o wiele bardziej groźnym niż rywal mieszczański Figara. A proletariacki Figaro? Przede wszystkim nie bedziemy go nazywali Figarem, nie był bowiem nigdy jakimś wcieleniem Scapina, lokajem — filutem czy bohaterem lotrykowskiej powieści. Rewolucyjny proletariusz francuski (bo o nim mowa) ma za sobą przeszło sto lat (licząc od czerwca 1848 roku) uczciwej i jakże często bohaterkiej walki klasowej, a dzisiaj walczy na wyższym skłębieniu spirali historycznej, gdzie zadanie jego jest trudne i skomplikowane. Wprawdzie nie jest sam: ma zapewnione poparcie socjalistycznej części świata; ma do dyspozycji doświadczenie Państw i wojsce budowy socjalizmu w Kraju Rad; posiada nade wszystko wspaniałą broń marksizmu-leninizmu. Ale też rewolucja, jaka go czeka, będzie rewolucją całkowitą: nie tylko ustrojowo — polityczną, ale także ekonomiczną i kulturalną. (Stan trzeci przyszedł do swej rewolucji jako klasa ekonomicznie i kulturalnie już zwycięska, czego proletariacki francuski nie może powiedzieć o sobie, choć kultura jego jest już tak samodzielną, że całkowicie potwierdza leninowską teorię dwu kultur w społeczeństwie kapitalistycznym). Napór sprzymierzonych imperializmów, planetarny charakter walki klas, wyzwolenie energii atomowej oraz idący za tym orszak straszliwych zagadnień, problematyka obrony pokoju — wszystko to składa się na obraz świata, którego niesposób wyrazić komedią.

Wiedzą o tym pisarze postępowi Europy nie od dziś — od prawie pięćdziesięciu lat. Romain Rolland przez całe swe życie twórczo, od „Wilków” (1898) do „Robespierrea” (1939), usiłował uświadomić sobie problematykę swojego czasu poprzez wielki dramat rewolucyjny. Akcenty tragedii są gęsto rozsiadane w dramaturgii Bernarda Shaw, która dzisiaj dopiero objawia swą esencję dyskusji światopoglądowej, charakterystycznej dla pierwszej połowy wieku. Teatrem tragicznym był w okresie międzywojennym niemiecki teatr ekspresjonistyczny. Termin „optymistyczna tragedia” da się rozciągnąć na całą rewolucyjną klasykę radziecką, która — od Wisniewskiego poprzez Pogodina i Treniewa do Korniejczuka — stanowi po dziś dzień nieprześcigniony szczyt radzieckiej literatury dramatycznej. Wreszcie dwie najlepsze sztuki minionego dziesięciolecia to tragiczne w najgłębszej swej istocie dzieła Leona Kruczkowskiego: „Niemy” i „Juliusz i Ethel”.

Wracając do Francji, stwierdzmy, że literatura reprezentująca klasę robotniczą i jej partię stroni od teatru, to zaś co w tej dziedzinie powstaje („Heloizy i Abelard” i „Pułkownik Foster” Rogera Vaillanda, „Strach” Georges’a Soria) stroni od komedii i współczesności francuskiej. Trudno zresztą przestać na teatrze. Wszystko, co zostało wyżej powiedziane, dotyczy całej współczesnej literatury francuskiej. Tęrenem zaś, na którym robotnik francuski załatwia swe porachunki z burżuazyjnym Almagiwa, nie jest teatr, lecz proza powieściowa (Aragon, Stille). Na tragedię rewolucyjną jest, widocznie, za wczesnie — jeśli nie wchłonie jej powieść, gatunek panujący.

* * *

2) Nie znaczy to, że wiek XVIII nie obfitował w tragedie. Przeciwnie. Przykładem — Voltaire, autor 27 tragedii, i jego epigoni Mercier, de Belloy, Marie, Józef Chénier. Ale ich dzieła są od dawna dokumentalnie zapomniane, to zaś, co z owego wieku przetrwało do dziś dnia, to wielokrotnie realizm komedie Lesage’a, Beaumarchais’a i Marivaux, pełne komediowej pasji dialogi Diderota, powieści lotrzykowskie Lesage’a i Louveta de Couvray.

